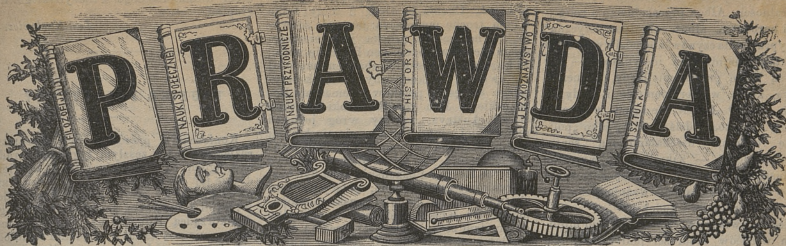
№ 12. Warszawa, dnia 20 (8) Marca 1886 r. Rok VI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Abonentów kwartalnych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.

Tom IV i ostatni „Szkiców i obrazków" Prusa wyszedł; abonentom prowincyonalnym wszystkie cztery tomy wysłane będą w tygodniu bieżącym.

POLITYKA.

ETYKA SAMOLUBSTWA.

Epokę obecną nazwano przełomem umysłowym i ekonomicznym. Rzeczywiście, jeśli zważymy takie objawy, jak rozrost materyalizmu i pozytywizmu, jak teorya Darwina i cały szereg wysnutych z niej reform w dziedzinie wiedzy, jak teorya Marxa i nieskończony łańcuch jej skutków praktycznych — to przyznać musimy, że w naszych oczach zmieniły się lub zmieniają podstawy naukowe i ekonomiczne bardzo gruntownie. Wielki ten wszakże proces przekształceń dotknął inną jeszcze sferę, na którą przytem wpłynął drugi czynnik nader ujemnie. Mówimy o moralności. Gdy z badań naukowych w szybkiem następstwie zaczęły uderzać gromy w starą budowę etyki, nieopartej na ziemi, lecz przyczepionej do nieba, wszystkie jej puszcze i nietoperze, spłoszone nagle, wyleciały stadem i zaczęły opłakiwać ruinę tradycyi, będącej przybytkiem ideałów, oraz złorzeczyć ich niszczycielom, którzy „umieją tylko burzyć, nic na to miejsce nie stawiając." Do gromady owych „bezmyślnych burzycieli" zaliczono naturalnie wszystkich badaczów ścisłych, wszystkich wyznawców niepodległej myśli, piętnowanych wspólnem mianem „materyalistów," którym naturalnie hetmanił najstraszniejszy z bandytów Darwin. Lat już wiele upłynęło od narodzin nieśmiertelnej jego teoryi, przeniknęła ona w cały grunt wiedzy naszej, nadała inny kierunek naszemu poznaniu, rozlała się szybko, jak żadna przed nią, i pomimo to statystyka nie dostrzegła z tej strony przyrostu zaludnienia dla kryminałów. Legendowy „materyalizm," który, obdarłszy świat z wiary, miał go strącić w przepaść zepsucia, nie dokonał owego szatańskiego dzieła, co więcej, pozostał dla mniemanych swych ofiar, dla najniższych warstw społecznych zupełnie nieznanym. Jakkolwiek bowiem księża niezmordowanie wykładali z ambon ludowi darwinizm, prostaczek dotąd nawet z nazwiska nie pamięta szatana, który czyhał i czyha na jego duszę.

Nie chcemy przez to jednak powiedzieć, ażeby darwinizm i wogóle nowoczesne prądy naukowe nie oddziałały na etykę. Owszem, zaczęły one nawet budować mocny jej zrąb i ustawiły rusztowanie dla świątyni, odpowiadającej zupełnie wymaganiom rozwoju. Podczas wszakże gdy te czynniki duchowe doskonaliły moralność, w starym jej gmachu wystawił wszelkim nieprawościom ołtarze kult krwawy — kult egoizmu politycznego, który niewątpliwie sprowadzi zgniliznę, zapisywaną na rachunek wpływów materyalistycznych. Nie wysłuchując z dusz samolubnych tego, co w nich cichym szeptem się wyraża, ale zbierając to tylko, co głośno, śmiało, bez wstydu okrzykuje się jako „zasada polityczna," jako „patryotyzm," jako „wzgląd praktyczny," jako „racya stanu," jako „interes państwa" — przychodzimy do wniosku, że pod temi hasłami przyczaił się najdzikszy egoizm, który urąga wszelkiej etyce i który może obsiać ludzkość ziarnami rzeczywistej i niebezpiecznej zarazy. Boć jeżeli obecna atmosfera moralna świata cywilizowanego jest mechaniczną mieszaniną pierwiastków najsprzeczniejszych, powstałą z rozkładu przez gnicie; jeżeli dla ludzkości nie ma dziś ani jednej prawdy niezaprzeczonej, ani jednej zasady pogwałconej, to zachodzi pytanie, czem owa biedna ludzkość odkarmia się i czy ona taką niezdrową mieszaniną przy życiu utrzymać się może? Widząc z najrozmaitszych stron cofanie kredytu ideom, głoszonym dawniej temi samemi ustami za nietykalne przykazania, ogół, przeważnie chwiejny w swych pojęciach, oswaja się z logiką najniższych pożądań, słucha jedynie głosu samolubnych popędów i rozszerza do niebezpiecznych dla wszelkiej organizacyi społecznej krańców granice możliwości i czynów dozwolonych. Kto badał psychologię ludów, ten wie, jaki to straszny wpływ wywiera na masy zła pobudka, z wysoka na nie rzucona. Takie pobudki padają np. w Prusach, nie zatrzymując się bynajmniej w ich obrębie. Ci sami ludzie, którzy uważają się za powołanych do strzeżenia prawidłowości życia zbiorowego i którzy ciągle w jej obronie walczą, naruszają ustawicznie jej podstawy w sposób daleko niebezpieczniejszy, niż ci, którzy to robią z zawodu i przekonania. Nieraz też słyszymy wymowne a znamienne w naszej epoce słowa w odpowiedzi na gospodarkę siły: „im gorzej tem lepiej." Słów tych nie chwytamy na głębszy rozbiór, puszczamy je mimo uszu jako frazes pustego junactwa, a jednakże w nich utkwiło groźne ostrzeżenie.

Niestety, ani mistrz nowej ewangelii politycznej, ani jego apostołowie lub najmici, pracujący w winnicy egoizmu państwowego, zamknąwszy wzrok w korzyściach chwili obecnej, nie sięgają nim w odległą przyszłość i nie zastanawiają się nad owocami teraźniejszości. Każdy wszakże umysł głębszy i rzetelniejszy musi zasmucać się nietylko tem, co widzi, ale i tem, co przewiduje, co narodzi się z posiewu smoczych zębów, które są teraz naj-

powszechniejszem ziarnem zwyrodniałej moralności. Albożprześladowania religijne i narodowe, albo cała „patryotyczna“ przyprawa dla czynów niegodziwych, albo łechtanie najniższych instynktów — czy to są tylko przemienne błędy i okrucieństwa, które wicher poniesie i ślady po nich zetrze? I one nie zginą w naturze rzeczy. Ale to, co dziś sławimy jako „politykę rozumu,“ nieobałamuconą „sentymentalizmem“ — zakiełkuje i wyrośnie w duszach ciemnych, do gospodarowania „krwią i żelazem“ nieupoważnionych, jako obraza moralności i kodeksu.

Jedno zwłaszcza czoło ozdobiono milionem wieńców mądrości politycznej. Nie mylimy się chyba, twierdząc, że przyszłość wielu z tych wieńców go pozbawi, przedewszystkiem zaś wawrzynów bohatera, sięgającego wzrokiem w daleką przyszłość. Mistrz polityki obecnego okresu nie różni się od swych uczniów: wysysa chwilę bieżącą egoizmem a o następstwa nie pyta. Równowaga zaś moralnych sił świata nie da się nigdy złamać na długo i dąży będzie do powrotu, a samolubstwo, choćby najsilniejsze, nie może być zasadą stale regulującą bieg życia zbiorowego. Że więc ono straci swą moc — to nie ulega wątpliwości, ale że wytworzy w masach stan moralnego bezładu i rozpasania — to jest najsmutniejszem. Nie w teoretycznym materyalizmie więc, którego owe masy nawet nie znają, ale w uświęceniu zasad gwałtu, którego szybko się uczą, spoczywa źródło zepsucia dla naszego wieku.

E. von Reile. **Die Zukunft der Polen und ihre Politik** (Przyszłość polaków i ich polityka). Berlin, 1886, str. 24 w 8-ce.

Jeszcze jedna piosenka na nutę, że polacy tylko od Niemiec szczęścia się powinni spodziewać. Śpiewał w tym tonie parę lat temu Konst. Frantz (*Die Weltpolitik* itd., Chemnitz, 1882, 2 tomy) tylko z inną trochę modulacyą: jemu się zdawało, że hegemonia pruska jest nieszczęściem niemców; panu von Reile się widzi, że hegemonia ta jest ich zbawieniem; obaj zaś uważają za konieczny warunek przyszłego szczęścia polaków zniemczenie Poznańskiego. Pan von Reile taki horoskop stawi: Austrya, zaklęty wróg jedności niemieckiej, musi upaść; niemieckie jej dzielnice utoną w morzu wszechgermańskiem; ostoją się tylko Węgry; Galicyę zabierze Rosya, Poznańskie musi być bezwarunkowo zniemczonem; polacy powinni chętnie w tem rządowi pruskiemu dopomódz, dla własnego dobra, bo gdy tylko germanizm zetknie się bezpośrednio z posiadłościami rosyjskiemi, nastąpi wojna, a w razie wygranej przez Prusy, przywrócone będzie Królestwo kongresowe i połączone z Galicyą. Tymczasem polacy poznańscy winni pod rządem pruskim uczyć się wojskowości i biurokracyi, bo oczywiście przy restauracyi potrzebować będą oficerów i urzędników własnych.

Zestawiając treść tej broszury ze świeżo w *Schlesische Zeitung* ogłoszonym listem „pewnego poważnego obywatela z Wołynia,“ dochodzimy do przeświadczenia, że ów mityczny wołyniak i pan von Reile, to jedna osoba: słowo w słowo te same u obu dowody, frazesy i wyrażenia.

Oczywiście obie elukubracye są utworem jakiegoś płaza z biura gadzinowego. Otrzymało ono „Wink von Oben“ taki: pisać, nakłaniając polaków do obojętnego znoszenia germanizacyi Poznańskiego, przekonywając ich, aby, dla własnego dobra, takowej dopomagali; rzucić im przynętę w postaci widma restauracyi przez Prusy i zachloroformować niem tak, iżby nie czuli bólu operacyi nad Poznańskiem...

Jedna jest wszelakoż wróżba w broszurze berlińskiej, na którą się chętnie piszemy; oto na str. 24 autor powiada: „dużo jeszcze czasu upłynie, zanim się nasz wschód zniemczy.“ Ne falsus vates sis, panie von Reile!

Tymczasem płazom berlińskim, czy się nazywają von Reile, czy „poważnymi obywatelami z Wołynia,“ odpowiadamy słówkiem nieśmiertelnego Prądzyńskiego: nie głupim!

Jan Karłowicz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Konferencya przedstawicieli mocarstw rozpoczęła już w zeszłym tygodniu obrady nad ugodą turecko-bułgarską i zatwierdzenie jej nie przedstawiało żadnych wątpliwości, kiedy nagle książę Aleksander wystąpił z żądaniem, ażeby mianowano go wielkorządcą Rumelii na czas nieograniczony, nie zaś na lat 5. Żądaniu temu odmówiono i rząd bułgarski nietylko nie obstaje przy nim, ale nawet uboczmie wypiera się go. Był to po prostu manewr ze strony księcia w celu osłabienia zarzutów opozycyi, niezadowolonej z ugody. Na czele niechętnych stoi Zankow, b. minister, przedstawiciel stronnictwa rosyjskiego, który twierdzi, że mniemana unia jest po prostu poddaniem Bułgaryi pod władzę Turcyi. Trudno jednak ocenić znaczenie ugody, dopóki nie nastąpi rewizya statutu rumelijskiego. Wtedy również książę Aleksander powtórzyć może dzisiejsze żądanie i otrzymać dożywotnią nominacyę, na którą zgadza się Porta, mocarstwa zaś nie mają przyzwoitych powodów do protestu.

Grecya siedzi cicho i nie niepokoi Europy nawet telegramami, dziś już nie może zacząć ona wojny. W narodzie wre niezadowolenie przeciw rządowi, który nie umiał ani wystąpić energicznie w stosownej chwili, ani też zachować się roztropnie. Olbrzymie dla tak małego kraiku wydatki na uzbrojenie spowodować mogą bankructwo skarbu państwa.

Słowem, pomimo zbliżającej się wiosny, pokój na półwyspie Bałkańskim jest zapewniony, przynajmniej na kilka miesięcy, ale dyplomacyi w danym wypadku o to tylko chodzi; każdy wie, że starcia niepodobna uniknąć, przy dobrej woli można wszakże odroczyć je na pewien czas.

---

3)

POEZYA.

JEHUDA-BEN-HALEWI.

H. Heinego.

IV.

Żona moja niekontenta
Z tego, com wyżej napisał,
Nadewszystko zaś z ustępu
O szkatułce Daryusza.

Niemal z goryczą mi rzekła:
Mąż prawdziwie religijny
Z pewnością by tę szkatułkę
Zaraz zmienił na pieniądze.

I dla swojej pracowitej,
Biednej żony kupił za nie
Ładną suknię kaszmirową,
Która jest jej tak potrzebną.

A Jehuda-ben-Halewi,
Według niej, mógł być chowany
Ze czcią całą w bardzo pięknym
Futerale tekturowym.

Ozdobionym wytwornemi,
Chińskiemi arabeskami,
Na wzór ładnych bombonierek.
(Patrz w Pasażu „Panorama“)

„To szczególne! — zakończyła —
Że ja nigdy nie słyszałam
O nazwisku tego wieszcza,
O Jehudzie-ben-Halewi“

Drogie dziecię — rzekłem na to —
Taka miła ignorancya
Świadczy tylko o partactwie
Francuskiego wychowania

Tych paryskich pensyonatów,
Gdzie dziewczęta, owe przyszłe
Matki wolnego narodu
Pobierają swą naukę.

Stare mumie i wypchanych
Faraonów też Egiptu,
Merowingskich pseudo-królów,
Peruki niepudrowane,

Monarchów Chin z warkoczami
Pagodo-porcelanowych —
Wszystkich umieją na pamięć
Mądre panny, lecz — o nieba!

Spytaj no je o nazwiska
Wielkich mężów z złotej doby
Arabo-staro-hiszpańskiej,
Żydowskiej szkoły poetów;

Spytajno je o trzy gwiazdy:
Jehudę-ben Halewego,
Salomona Gabirola
I Mojżesza Iben Esrę;

Wspomnij imiona podobne,
Wnet wytrzeszczy na cię oczy
Każda z dziewcząt; wtedy stoją
Niby jałówki przy górze.

Radziłbym ci, ukochana,
Prędko zapełnić te braki
I poznać język hebrajski —
Porzuć teatr i koncerty.

Poświęć kilka lat tym studyom,
Wówczas będziesz mogła czytać
Poezye w oryginale
Iben Esry, Gabirola —

Rozumie się — i Jehudy,
Triumviratu rymotworstwa,
Który ongi Dawidowi
Wykradł sztukę pięknych dźwięków.

Alcharisi (założę się,
Że i tego nie znasz, choć on
Francuskiego dowcipkarza
Harirego przerósł śmiechem

Na polu ostrej satyry
I był też wolteryaninem
Na sześć wieków przed Voltairem)
Ów więc Alchariri rzekł raz:

„Gabirol błyszczy myślami
I podoba się mędrcowi;
Iben Esra błyszczy sztuką,
Więc przypada w smak artyście;

Obu wszakże właściwości
Ma Jehuda-ben-Halewi
Jest on wielkim też poetą,
Ulubieńcem wszystkich ludzi.“

Był ibn Esra przyjacielem
Oraz, jak mniemam, krewniakiem
Jehudy-ben-Halewego,
Który w swoim pamiętniku

Ubolewa, jak daremnie
Szukał w Grenadzie swojego
Przyjaciela, znalazł zaś tam
Tylko brata, medykusa.

W wiedeńskiej Radzie państwa podczas rozpraw nad wnioskiem Scharschmidta o języku państwowym prawica podzieliła się, polacy i autonomiści niemcy głosowali za odesłaniem projektu do komisyi, czesi żądali odrzucenia go wprost. Nie jest to jednak spór zasadniczy, bo nie ulega wątpliwości, że wniosek przyjętym nie będzie. Minister handlu b. Pino, skompromitowany wspólnictwem w różnego rodzaju nadużyciach, podał się do dymisyi.

W Galicyi odbędą się wkrótce wybory dla zastąpienia dwóch zmarłych członków rady państwa Kallira i Zatorskiego. Pierwszy z nich nie należał do Koła polskiego, obecnie zaś w Brodach wystąpił jako kandydat Rosenstock, który podobno zalicza się do narodowości polskiej. Następcą Zatorskiego zostanie zapewne dr. Rosenblatt.

W angielskiej Izbie gmin radykalista Labouchere postawił wniosek zniesienia Izby lordów; przegłosowano go bardzo nieznaczną większością i to dlatego tylko, że Gladstone wystąpił przeciw projektowi, uznając go za przedwczesny. Natomiast oświadczył on, że poparłby chętnie wszelką próbę reformy. Rzeczywiście, Izba parów przy dzisiejszej organizacyi swojej krępuje nieraz działalność rządu. Obecnie również przewidywanem jest starcie w sprawie reform irlandzkich. Jakkolwiek dwóch członków gabinetu, Chamberlain i Trevelyan nie zgadzają się na projekty Gladstone'a, spodziewa się on jednak pozyskać dla nich większość w Izbie gmin. Ale ponieważ Izba wyższa na pewno odrzuci bil o samorządzie i o uregulowaniu spraw rolnych, rozwiązanie parlamentu staje się koniecznem. Gladstone spodziewa się, że nowe powołanie przedstawicieli narodu potwierdzi jego politykę, jest to rzecz bardzo prawdopodobna, zwłaszcza, że irlandczycy licznie zamieszkali w Aaglii oddadzą teraz głosy swoje liberałom.

Projekty anty-polskie Bismarka wywołały rozterkę nawet w łonie ministeryum. Minister oświaty Gossler i skarbu Scholtz poróżnili się, ponieważ ostatni ze względów finansowych nie bardzo przychylnie ocenia projekty kolonizacyjne i szkolne. P. Boëtticher znowu, minister związkowy dla spraw wewnętrznych, ściągnął na siebie gniew kanclerza za to, iż zapowiedział pojawienie się jego w komisyi dla obrony monopolu wódczanego. Tymczasem Bismark, przekonany, że projekt monopolu upadnie, nie zjawił się wcale, oświadczając, iż jest chory. Komisya parlamentarna odrzuciła wszystkie wnioski, zmierzające do ustanowienia monopolu. Inna znowu, której przekazano projekt rządowy o przedłużeniu ustaw wyjątkowych przeciw socyalistom zażądała pewnych dosyć ważnych zmian — np. zniesienia stanu oblężenia z wyjątkiem Poczdamu i Berlina. Kiedy zaś p. Puttkamer nie chciał przystać na na żadne zmiany, komisya oświadczyła się przeciw przedłużeniu ustaw wyjątkowych. Jeżeli jednak podczas obrad rząd przyjmie pewne poprawki, ustawa przejść może, niektórzy członkowie centrum nie odmówią jej poparcia, zwłaszcza teraz, kiedy ugoda kościelna lada dzień stanie się faktem dokonanym.

Rząd angielski oświadczył, że pozostawi Egipt własnemu losowi, jeżeli pozyska zapewnienie, iż żadne inne państwo kraju tego nie zajmie. Wycofywanie wojsk brytańskich już się nawet zaczęło, opuściły bowiem one zagrożony przez powstańców Suakim.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZJAZD CUKROWNIKÓW.

Za przykładem fabrykantów żelaza i górników zebrali się również w Petersburgu na wspólną naradę przedstawiciele przemysłu cukrowniczego. Publicznie ogłoszonym celem zjazdu jest „obmyślenie sposobów wyjścia z obecnego przesilenia w tej gałęzi wytwórczości," co w przekładzie na zwyczajną mowę mniej więcej znaczy: zdobycie nowego zasiłku rządowego, lub— jeżeli się to nie uda — zorganizowanie wielkiej zmowy producentów na szkodę spożywców. Nie ma dziś chyba takiej gałęzi przemysłu, której przedstawiciele nie skarżyliby się na złe czasy, ale pp. cukrownicy jęczą tak głośno i tak wymownie, że wzbudzili nawet dwukrotnie litość w twardem sercu zarządu finansowego i namacalne jej dowody otrzymali już w postaci premiów i ulg wszelkiego rodzaju. Lecz co to wszystko znaczy dla kapitalistycznego żołądka, zdolnego pochłaniać coraz to nowe dania a zwłaszcza dla żołądka, tak już rozepchanego olbrzymiemi dywidendami! Jakiś tam milionowy zasiłek może tylko podrażnić i zaostrzyć apetyt, ale nie nasyci wciąż rosnących pożądań. Należy bowiem raz już wyraźnie zaznaczyć, że organizatorom tej kosztownej zabawy protegowania swojskiego przemysłu chodzi jedynie o wyciągnięcie jak największych zysków i że po za tem dążeniem, przystrojonem w frazeologiczne liczmany, w obecnem położeniu przemysłu cukrowniczego nie można znaleźć ani jednego argumentu, któryby usprawiedliwiał natrętne wymagania zasiłków lub płaczliwe skargi.

Tak dawno już słyszymy i tak głośno brzmią w uszach naszych frazesy o upadku cukrownictwa, o hyperprodukcyi itd., że wypada bliżej rozpatrzeć tę sprawę i zajrzeć w oczy tym straszydłom, przeznaczonym dla zaimponowania łatwowiernej opinii publicznej. Tembardziej zaś należy to uczynić, że na zjeździe postawiono projekt, który gdyby został urzeczywistnionym, dałby się we znaki i tak już wypróżnionej kieszeni spożywców. Cukier nie jest bynajmniej przedmiotem zbytku, lecz artykułem codziennego spożycia znacznych mas ludności. Tymczasem pp. cukrownicy zamierzają ograniczyć produkcyę do 18 milionów pudów rocznie, przyczem każda cukrownia wyrabiać ma tylko z góry oznaczoną ilość cukru, od wyrobionego zaś nad normę producenci płacić będą wysokie kary. Nie mówiąc już o tem, że cukrownie mniejsze w warunkach tych ulegną przewadze wielkich fabryk, ani też o tem, że postanowienie powyższe jest po prostu aktem zmowy przeciw spożywcom, zobaczymy, czy rzeczywiście produkowana dziś ilość cukru jest tak wielką, że aż potrzebuje obostrzonych karami ograniczeń.

Jeżeli roczne spożycie nie może przekroczyć cyfry 18 milionów pudów, to zna-

---

Rabbi Meyer, też poeta,
Przytem ojciec owej pięknej,
Która beznadziejnym ogniem
Zapaliła serce Esry —

By zapomnieć o ciotuni (?)
I on ujął kij wędrowny,
Jak inni koledzy jego.
Żył w tułaczce i bez dachu,

Wędrując do Jeruzalem.
Raz napadli go tatarzy
I do konia przywiązawszy,
Do stepów swoich zawlekli.

Tam on musiał pełnić służbę
Niegodną wcale rabbiego
A tem mniej jeszcze poety,
Mianowicie — doił krowy.

Gdy pod brzuchem krowy kucnął
Sobie kiedyś, bardzo pilnie
Wyciskając jej wymiona
I mleko wstrzykując w szkopek —

Pozycya nieodpowiednia
Ni rabbiemu, ni poecie —
Wtedy spadła nań tęsknota,
W której zaczął głośno śpiewać.

Śpiewał tak pięknie i mile,
Że chan, książę owej hordy,
Przechodząc wówczas, wzruszony,
Obdarował go swobodą

I licznymi prezentami:
Dał mu lisiurkę i długą
Saraceńską mandolinę
Oraz pieniędzy na drogę.

Los poetów! Zła to gwiazda,
Która synów Apolina

Wprost zadręcza, a i nawet
Ich ojca nie oszczędziła.

Kiedy bowiem ścigał Dafnę,
Zamiast białego jej ciała,
Ujął drzewo wawrzynowe,
On, co boskim jest *Schlemihlem*,

Tak, szanowny ten delfijczyk
Jest *Schlemihlem*, nawet laur,
Dumnie zdobiący mu czoło,
Oznacza też *schlemilostwo*

Co zaś wyraz *Schlemihl* znaczy,
Dobrze wiemy. Wszak Chamisso
Wyrobił mu dawno w Niemczech
Już prawo obywatelstwa.

Ale jako źródło Nilu
Pozostał dotąd nieznanym
Jego początek, nad którym
Noc niejedną przemyślałem.

W Berlinie, przed laty wielu,
Zwróciłem się do Chamissa,
Do naszego przyjaciela,
Dziekana wszystkich Schlemihlów.

Nie mógł on mnie zadowolić
I odesłał do Hitziga,
Który mu imię rodzinne
Swego przezacnego Piotra

Kiedyś zdradził. Wziąłem tedy
Dorożkę i pojechałem
Do pana radcy Hitziga,
Który wówczas zwał się: *Itzig*

Kiedy jeszcze był Itzigiem,
Widział we śnie swoje imię
Raz na niebie wypisane,
A przed niem głoska *H.* stała.

„Co *H.* owo znaczyć miało?—
Pytał on się. Czy *Herr* Itzig,
Czy też może święty (heiliger) Itzig?
Święty jest tytułem pięknym,

Lecz w Berlinie nie uchodzi."
Po namyśle zwał się: *Hitzig*
I tylko blizcy wiedzieli,
Że w Hitzigu siedzi święty.

Święty Hitzigu! — rzekłem więc,
Wchodząc doń — pan powinieneś
Objaśnić mi pochodzenie
Gramatyczne słowa: *Schlemihl.*

Obchodził rzecz ciągle święty,
Tłomaczył się niepamięcią
Używał wielu wykrętów
Chrześciańskich. Aż na koniec

Przy spodniach mej cierpliwości
Już wszystkie guziki pękły,
I zacząłem tak przeklinać,
A przeklinać tak bezbożnie,

Że pobożny pietysta,
Trupio blady i chwiejący
Się na nogach, natychmiast mnie
Uspokoił i powiedział:

„W Starym Zakonie czytamy,
Że w wędrówce przez pustynię
Izrael bawił się często
Z dziewczynami Kanaanu.

„Zdarzyło się raz, że Pinhas
Sahe, jak i zacny Simri,
Umizgał się do kobietki
Z pokolenia kananitów.

„Uniesiony wielkim gniewem
Porwał włócznię i na miejscu

czy, że na każdego mieszkańca państwa rosyjskiego wypadnie około 7½ funtów cukru. Nawet w Niemczech, gdzie cukier jest niemniej drogi, jak u nas, spożycie roczne wynosi około 17 funtów na głowę, we Francyi zaś dochodzi 29¼, w Stanach Zjednoczonych 55½ a w Anglii 75½ f. Dwa te ostatnie kraje spożywają połowę produkcyi cukrowniczej całego świata. Przykład Anglii jest bardzo pouczającym: przed czternastu laty, kiedy funt cukru kosztował 25 kopiejek, spożycie wynosiło zaledwie 17 funtów na głowę, ale w miarę zniżania ceny wzrastało stopniowo. Dziś za funt cukru w Anglii płaci się 7 kopiejek. Wobec tych cyfr trudno mówić o nadprodukcyi w Rosyi; jeżeli przy 23 milionach pudów wyrobu pozostaje niesprzedaną pewna ilość, to dla tego tylko, że produkt jest stosunkowo zbyt drogi. Protekcyoniści kręcą się tutaj w zaczarowanem kole, cła i zasiłki wszelkiego rodzaju w ostatecznym rezultacie wypłacają spożywcy, podatek ten pośredni osłabia zdolność nabywczą ludności i co za tem idzie zwiększa jeszcze nadprodukcyę. Gdyby spożycie cukru w Rosyi dorównało chociażby niemieckiemu, produkcya mogłaby być zdwojoną, rozpowszechnione zaś w Cesarstwie używanie herbaty i znaczna konsumcya konfitur, pierników i innych słodyczy dowodzi, że gdyby dobrobyt ludności podniósł się nieco, podwójna lub potrójna nawet ilość wyrobu znalazłaby nabywców. W ostatnich latach konsumcya herbaty i kawy zmniejszyła się również — okoliczność ta tłomaczy zmniejszone zapotrzebowanie cukru; przyczyna jest tu jedna i ta sama — osłabienie zdolności nabywczej, czyli po prostu mówiąc, zbiednienie spożywców.

Rozumie się, że producenci cukru przyczyny tej usunąć nie mogą; ale oprócz ograniczenia ilości wyrobu i szturmowania o coraz nowe ulgi i zasiłki, mają oni, a raczej mieć powinni inne środki wybrnięcia z kłopotu. Nie ma żadnej rozumnej racyi, dla której cukier rosyjski nie mógłby znaleźć dogodnego zbytu na obcych rynkach, bez żadnych premiów. Dzisiaj nie wytrzymuje współzawodnictwa, bo jest za drogi, ale przyczynę tę łatwo usunąć. Kultura buraków prowadzona jest niedbale, przeróbka zaś ich jeszcze niedbalej, jeżeli to być może. Ciekawe cyfry, dotyczące tego stanu rzeczy, podają petersburkie *Nowosti*. Podówczas gdy w Niemczech plon buraków z dziesięciny równał się w 1885 198 berkowcom, w Rosyi wynosił tylko 109, dodać zaś trzeba, że był to niezwykły urodzaj, bo w 1884 roku zebrano z tej samej przestrzeni tylko 86 berkowców, kiedy w Niemczech otrzymano 180, a we Francyi 235. W Austryi a nawet w Danii nie bywa nigdy niższego plonu od 200 berkowców z dziesięciny. Niedosyć na tem, że uprawa buraków prowadzona jest niedbale, zawierają one również mniejszy procent cukru, chociaż ściślej może byłoby powiedzieć, że dają mniejszy procent. Wydajność cukru zależy bowiem nietylko od gatunku buraków, ale również i od sposobu przeróbki. W Niemczech procent cukru wynosił od 21.1 do 40.3 przy udoskonalonej metodzie fabrykacyi, w Rosyi zaś w r. 1885 tylko 8.5.

Cyfry te tłomaczą najlepiej, dlaczego cukier nasz nie może współzawodniczyć na rynkach zagranicznych, oraz dlaczego cukrownicy skarżą się, że przy dzisiejszych cenach ponoszą straty. Skargi te zresztą nad miarę są przesadzone, bo jak pokazują sprawozdania z ubiegłej kampanii, większość cukrowni dała właścicielom ładne dywidendy, od 10 do 15, a nawet w kilku wypadkach wyżej 20%. Jeżeli przy dzisiejszych cenach można otrzymywać taki procent, to nie ma wątpliwości, że ceny te mogą być jeszcze zniżone. Wprawdzie niektóre cukrownie nie dały wcale dochodu, ale kiedy inne wypłaciły jednocześnie wysoką dywidendę, to znaczy, że nie może być tu mowy o przesileniu i innych przyczynach ogólnych upadku tej gałęzi przemysłu, ale tylko o mniej lub więcej umiejętnem i oszczędnem prowadzeniu fabrykacyi. Może być również, że dające stratę cukrownie znajdują się w miejscowościach nieodpowiednich, że muszą płacić drożej za buraki, opał, robotnika itd. i dla tego nie wytrzymują współzawodnictwa. W ubiegłych latach cukrownictwo znajdowało się w nader szczęśliwych warunkach i korzystało z wielu przywilejów, które tolerowały, a nawet powiedzieć można — protegowały rutynę i niedbalstwo. Dzisiaj warunki zmieniły się nieco, ale producenci zamiast tego, żeby zdwojoną energią i umiejętnością zapobiedz stratom, nie znaleźli innych środków ratunku, oprócz kołatania do skrzyni skarbowej i zmowy na szkodę spożywców. Protekcya swojskiego przemysłu okazała się tutaj jak i w wielu innych razach protekcyą zastoju w technice i gospodarczej niezaradności, kiedy zaś nadzieja dalszej opieki zawiodła, pp. cukrownicy wynaleźli nowy sposób zabezpieczenia sobie na przyszłość dotychczasowych olbrzymich dochodów. Przy tej manipulacyi cukrownie mniejsze lub mniej w kapitał zasobne padną wkrótce ofiarą, potem „ureguluje się rozmiar produkcyi,“ ceny cukru podniosą się o 50%, a „dywidendy wrócą do pożądanej i słusznej normy“ tj. 30—40%.

Ponieważ przemysł cukrowniczy obejmuje tylko nieznaczną liczbę wielkich zakładów i produkcya nosi wyłącznie cechę kapitalistyczną — walka konkurencyjna odbywa się w nim jawnie i wyraźnie, bez przymieszki żadnych pobocznych wpływów. Obecnie jesteśmy świadkami stanowczego zwrotu w tej sprawie — zmowa poprzedza pochłonięcie słabszych współzawodników. Nie mielibyśmy nic przeciw temu wzajemnemu pożeraniu się, gdyby nie odbijało się ono na interesach ogółu; ponieważ jednak ostatecznym celem wspólnej akcyi zwycięzców będzie zupełne pognębienie spożywców, którzy nietylko zapłacą nowy haracz, ale zmuszeni zostaną zwrócić również koszta wojenne — chcemy — nie przeciwdziałać, bo to nie leży w naszej możności, ale przynajmniej zwrócić uwagę czytelników na znaczenie uchwał zjazdu przedstawicieli cukrownictwa. Spodziewać się można, że postanowienie obowiązkowego ograniczenia produkcyi nie pozyska zezwolenia władzy, gdyż jest ono nieprawnem.

Interesy producentów tylokrotnie już doznały troskliwej opieki, zabezpieczone są tak trwale, że nie zawadziłoby pomyśleć nieco o interesach spożywców. Jeżeli dotychczasowe ulgi i ofiary ze strony rządu nie pomogły cukrownictwu, to nie ma on obowiązku popierać dalej tej gałęzi przemysłu na koszt opodatkowanej masy. Przestaje zaś być obowiązkiem i szkodli-

---

Zabił nią owego Simri.
Tak czytamy, mówię, w Biblii.

„Ale w ludzie całkiem inne
Trzyma się ustne podanie,
Że to wcale nie Simriego
Zabił Pinhas swoją włócznią,

„Lecz że zaślepiony gniewem,
Zamiast winowajcy trafił
W przeoczeniu — niewinnego
Schlemila ben Zuri Schadday“

Tym sposobem Schlemihl I
Jest przodkiem całego rodu
Schlemihlów — i pochodzimy
Od Schlemihla Zuri Schadday.

Nie jest wprawdzie on nam znany
Z żadnych wielkich swoich czynów,
Wiemy tylko, jak go zwano
I że kiedyś był Schlemihlem,

Lecz pień rodu czcić należy
Nie dla wybornych owoców
Lecz już dla starego wieku —
Nasz liczy lat trzy tysiące!

Idą lata i przechodzą,
Trzy tysiące już ubiegło
Od śmierci naszego przodka
Schlemihla ben Zuri Schadday.

Dawno również umarł Pinhas,
Lecz grot jego się zachował,
I słyszymy ciągle, jak on
Nad naszemi drży głowami

Uderza w najlepsze serca,
Jak Jehuda-ben-Halewi
I jak Mojżesz Iben Esra.

Przebił on też Gabirola,

Tego zacnego i Bogu
Poświęconego śpiewaka,
Tego świętego słowika,
Dla którego Bóg był różą;

Tego słowika czułego,
Który śpiewał o miłości
W ciemnych mrokach cichej nocy
Gotycko-średniowiekowej!

Bez bojaźni i bez troski
O dziwadła, o upiory,
Widma śmierci i obłędu,
Co straszyły w owej nocy,

Słowik ten rozmyślał tylko
O swej boskiej ukochanej,
Której miłość swą poświęcił
I którą śpiewem wysławiał!

Trzydzieści wiosen Gabirol
Żył na ziemi, ale sława
Rozniosła po wszystkich krajach
Wielki blask jego imienia.

W Kordubie, gdzie on przebywał,
Mieszkał obok pewien murzyn,
Który również robił wiersze,
Wieszczej chwały mu zazdroszcząc.

Kiedy słyszał śpiew poety,
Czuł, że żółć mu się przelewa,
Słodkie dźwięki każdej pieśni
Napawały go goryczą.

Zwabił tedy Gabirola
Nocą do mieszkania swego,
Zamordował go i ukrył
Trupa za domem w ogrodzie.

Cóż się stało! Oto w ziemi,
Gdzie trup leżał zakopany,
Wyrosło drzewo figowe
Zadziwiającej wielkości;

Miało owoc dziwnie długi
I dziwnie mocnej słodyczy,
Kto go zjadł, niechybnie wpadał
W marzycielskie zachwycenie.

Skutkiem tego było wiele
Gadaniny i tłomaczeń,
Które wreszcie aż dobiegły
Do wzniosłych uszu Kalifa.

Ten własnym językiem zbadał
Owo zjawisko figowe,
I natychmiast ustanowił
Osobną komisyę śledczą.

Postąpiono sumarycznie:
Sześćdziesiąt bambusów w pięty
Dano naprzód panu drzewa,
Który winę swoją wyznał.

Potem znów wyrwano drzewo
Z korzeniami. Jakoż w ziemi
Znaleziono zaraz trupa
Zabitego Gabirola.

Sprawiono mu świetny pogrzeb,
Bracia przywdzieli żałobę.
Tegoż samego dnia murzyn
Powieszony był w Kordubie.

---

wą nawet staje się opieka wtedy, kiedy — jak to ma miejsce w cukrownictwie — okazuje się, że popiera ona nieudolność lub lenistwo.

J. L.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwówd, 14 marca.

25-a rocznica śmierci Szewczenki i świętowanie jej w Galicyi. — Po procesie p. Michałki.

Dnia 10 marca minęło ćwierć wieku od śmierci największego poety ukraińskiego, Tarasa Szewczenki. Dzień ten każdego roku bywa dla Rusi halickiej świątecznym; nietylko we Lwowie, ale i po innych miastach, a nawet po wiejskich czytelniach inteligencya i lud obchodzą pamięć wieszcza. Tem uroczyściej powinno by wypaść świętowanie 25-tej rocznicy jego śmierci. Dotychczas atoli starsi rusini lwowscy nie przygotowali żadnego obchodu, oprócz nabożeństwa za duszę nieboszczyka; wieczorek muzykalno-deklamacyjny towarzystw „Proświty“ i „Ruskiej Besidy“ zapowiedziany dopiero na 25 marca. W rocznicę odbyły się wieczorki urządzone przez młodzież, a mianowicie jeden przez uczniów rusińskiego gimnazyum, a drugi przez „Akademickie Bratstwo.“ Szkoda jednak, że na tym drugim zebraniu nie było żadnej przemowy, która mogła by była nadać mu właściwą cechę. Zapowiedziany bowiem występ redaktora *Dila*, p. Iwana Beleja został przez policyę zabroniony. Na pamiątkę tej rocznicy przygotowuje się też nowe, stereotypowe wydanie wszystkich poezyj Szewczenki, uporządkowanych chronologicznie i kilka prac, wyjaśniających jego wpływ nietylko na rusińską, ale i na inne pobratymcze literatury. P. D. przysłał list otwarty, wydrukowany w tutejszych dziennikach polskich, w którym przypomina galicyjskim narodowcom, że popełniają niekonsekwencyę, czcząc pamięć Szewczenki, gdyż przyjąwszy program ks. Pełesza, program „unickiego ultramontanizmu,“ tem samem zerwali nić, łączącą ich z przewodniemi ideami ukraińskiego poety, który w swej poezyi nietylko nie był ani katolickim, ani unickim zelotą, ale nawet wyszedł daleko po za ramy tradycyjnego chrześciaństwa. Wskutek tego wzywa p. D. do zmiany kierunku, do „laicyzacyi“ polityki narodowej. Głos ten nie wywołał takiej uwagi, jaka by mu się ze względu na ważność poruszonego przedmiotu należała.

Proces b. dyrektora banku kryłoszańskiego Michałki, o którym poprzednio pisałem, rozbudził dosyć żywą dyskusyę w tutejszych gazetach rusińskich o t. zw. sanacyi tego banku. Z powodu ciągłych twierdzeń *Słowa* i *Prolomu*, że narodowcy w krytycznej chwili usiłowali bank obalić, a nawet ruskie instytucye, jak „Dom Narodny,“ oddać w ręce polakom (?), wystąpił prof. Wachnianin w *Dile* i obszernym artykułem opowiedział historyę tej „sanacyi,“ wykazując, że 1) bank w chwili krytycznej, spowodowanej własnem niedbalstwem zarządu, zwrócił się po ratunek także i do narodowców i 2) dyrektor, p. Dobrjański, pierwszy podniósł myśl zaciągnięcia dla sanacyi banku znacznej pożyczki w banku krajowym, a gdy dyrekcya tegoż banku zażądała jakiejś hypoteki, nalegał na to, żeby dać w zastaw „Dom Narodny“ i „Stauropigię,“ a nawet pomimo sprzeciwienia się komitetu sam i przez swoich popleczników agitował za przeprowadzeniem w czyn tej myśli. To wystąpienie p. Wachnianina wywołało częściowe sprostowanie p. Gerowskiego, obecnego prezesa „Domu Narodnego;“ sprostowanie to jednak ani na włos nie osłabiło zarzutu, podniesionego przeciw obecnemu dyrektorowi i syndykowi banku kryłoszańskiego, że w chwili krytycznej dla ratowania swej osoby (bo z chwilą upadku banku groziło mu więzienie) gotów był poświęcić najgłówniejsze instytucye narodowe. Zdaje się, że te wywody były bezpośrednią przyczyną, dla której na prezesa politycznego towarzystwa „Rady ruskiej“ po śmierci ks. Szwedzickiego nie został wybrany p. Dobrjański, wiceprezes, lecz Bohdan Didycki, człowiek umiarkowany i zasłużony, którego klika p. Dobrjańkiego właśnie za jego umiarkowane przekonania niedawno jeszcze wszelkimi sposobami starała się oczernić.

I. Franko.

LECZNICE WARSZAWSKIE.

Lecznice prywatne, uważane dotąd za dobrodziejstwo zwłaszcza dla klas niższych, stały się przedmiotem silnego ataku ze strony dra Kadlera. Autor w osobnej broszurze stawia im następujące zarzuty: 1) Badanie chorego, wskutek braku czasu, musi być zbyt powierzchownem i ograniczać się na najprostszych objawach — stąd wątpliwość dobrego rozpoznania a zatem i leczenia; 2) lekarz, zwykle nieznany choremu, nie wzbudza w nim zaufania; pomoc zaś bezpłatną chory niezamożny otrzymać może również w mieszkaniu lekarza; 3) materyał kliniczny lecznic nauce nie przynosi pożytku; 4) mają one za mało chorych, ażeby ich istnienie mogło być niezbędnem; 5) porady szukają tam nietylko osoby niezamożne, lecz i takie, które mogłyby dobrze za nią zapłacić; stąd straty materyalne dla ogółu lekarzy; 6) zniżenie płacy za poradę obniża godność stanu lekarskiego i sprowadza braki materyalne, które warunkują zastój na niwie naukowej; 7) lekarze lecznic rekrutują chorych do swoich prywatnych ambulatoryów i nadużywają reklamy.

Na zasadzie powyższych wniosków, autor, uważając lecznice jako zakłady niepotrzebne, szkodliwe, a nawet niemoralne — radzi je zamknąć.

Rozpatrzmy jego zarzuty:

1) Nie potrzeba być lekarzem, ażeby zrozumieć, że czas, przeznaczony do badania chorego, jest w lecznicach bardzo ograniczony. Czy jednak udają się tam ludzie z tak trudnemi do zbadania chorobami? — Wątpię. Łatwo bowiem przekonają się, że lecznica nie dla nich i drugi raz do niej nie pójdą. Zadaniem tego rodzaju zakładów jest ułatwienie pomocy w wypadkach prostszych, mało zawikłanych — uskutecznienie małej operacyi, lub udzielenie prostej rady, czego najczęściej brakuje i co stosunkowo rzeczywiście za drogo zwykle kosztuje. Widząc wypadek trudniejszy, sumienny lekarz odeszle chorego dla ściślejszej obserwacyi i gruntowniejszej pomocy gdzieindziej, lub jeśli może sam to zrobić, nie wątpię, że to uczyni w porze właściwszej i w razie potrzeby bez wynagrodzenia.

Badań chemicznych, mikroskopowych itp., o których autor mówi, nikt od lecznic nie żąda; badania takie zresztą i przy bardzo ścisłych dyagnozach pozalecznicowych mają dotąd u nas szczupłe zastosowanie.

2) Sądzę, że lekarz sumienny zawsze i wszędzie udzieli choremu rady jednakiej, bez względu na to, czy ten jest lub nie jest dobrym jego znajomym. Zarzut tu postawiony przez dra Kadlera należy do bardzo ciężkich. A więc tylko znajomych mamy leczyć dobrze? Nieznajomy lekarz nie zasługuje na zaufanie? Zdaje się, że autor nie dość zważył doniosłość tego oskarżenia.

Co zaś do usług bezpłatnych — to o nie właśnie tu nie idzie. Chory za 25 kop. (a więcej zapłacić nie może lub nie chce) żąda od lekarza pomocy. Ten, jeżeli jest w stanie, daje mu ją — i obaj nie są sobie dłużni. Czy w tym razie lepszą jest materyalna zależność wzajemna? Lekarza nic nie zmusza do tak taniego sprzedawania swojej umiejętności. Jeżeli chce i może, niech ją sprzeda drożej poza lecznicą.

3) Zarzut ten jest może ze wszystkich najsłuszniejszym. Wyraźnej korzyści naukowej z lecznic nie zapisano. Czy to jednak dowód, że jej rzeczywiście nie dają? Dobry spostrzegacz zobaczy w lecznicy rzecz uwagi godną i zużytkuje ją właściwie a nie gorzej od przyjmującego we własnem mieszkaniu. Z niewielu tylko prywatnych ambulatoryów nauka i literatura lekarska odniosła prawdziwy pożytek.

4) Corocznie zwiększająca się ilość chorych w lecznicach (jak przekonywa str. 5 broszury) nie potwierdza słuszności czwartego zarzutu. Gdyby rzeczy tak źle stały, jak chce autor, lecznice pomarłyby śmiercią naturalną — na suchoty. Dotąd jednak tak nie jest; przeciwnie ilość ogólna chorych powiększa się corocznie, a w każdej z osobna ulega niezbyt znacznym tylko wahaniom. Czy nie jest to dowodem odpowiadania celowi?

5) Nie rozumiem, dlaczego w lecznicy nie mają szukać porady osoby zamożne. To właśnie widzimy, na jakie manowce prowadzi nas źle zrozumiana filantropia. Pomijając już to, że nie mamy probierza na osądzenie, kto jest o ile zamożnym, nie pojmuję dla czego zamożniejszy nie ma dostać taniej porady, zwłaszcza w wypadkach mniejszej wagi, nie przedstawiających trudności dyagnostycznych lub leczniczych. Że my wolelibyśmy za taką rzecz wziąć więcej — to rozumiem.

6) Nie wierzę, ażeby godność lekarska mogła być mierzoną ilością rubli, wziętych za poradę. Zniżenie, „zdeprecyonowanie“ tej godności zależy chyba od zbyt troskliwego „szukania zasilających źródeł.“ To też nie szukamy ich, jeżeli godność stanu lekarskiego jest nam miłą. Słyszeć się dają z wielu stron narzekania na małe szanowanie pracy lekarskiej. Czy się tylko nie przeceniamy? Prawda, że w dawnych czasach, jak wspomina autor, jedno szczepienie ospy u osoby koronowanej przyniosło 150,000 rubli; żałuję, że tyle nam teraz nie płacą; żałuję również, że tak mało mamy wdzięcznych osób koronowanych, cóż robić jednak! Szkoda, żeśmy nie poszli po drodze finansowej, możeby nam się wiodło lepiej. Z tem wszystkiem mocno wątpię, ażeby na wartość umysłowej produkcyi lekarskiej wpływać miały te same przyczyny. Jak dotąd, częściej widzimy stosunek odwrotny. Najwięcej i najszczerzej pracowali i pracują biedacy, których zresztą wcale żałować nie należy, gdyż przyjemność, jaką daje praca naukowa, sowicie im inne braki opłaca.

7) Zarzut ostatni byłby wtedy poważnym, gdyby tym kamieniem tylko na lekarzy lecznicowych rzucić było można. Za mało znam ich, ażebym mógł sąd swój o tem wydać; może go wraz z innymi zarzutami sami odeprzeć zechcą. Co zaś do reklam, używamy ich również poddostatkiem nie będąc lekarzami lecznic.

Zdawałoby się więc, że lecznice nie zasługują na takie ryczałtowe potępienie. Dr Kadler sądzi inaczej! Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie, wyprowadziłaby nas już poza granice sporu przedmiotowego i wwiodła w sferę przypuszczeń, których się zrzekamy.

O. B.

BADANIA NAUKOWE.

CHARAKTERYSTYKA FIZYCZNA
ludności polskiej *).

Jeszcze przed dziesięciu laty, kiedy ustanowiono w Akademii umiejętności komisyę antropologiczną, zajął się jej prezes, dr. Majer, razem z dr. Kopernickim zbieraniem w kraju spostrzeżeń, celem zbadania fizycznych cech, tak wogóle ludności galicyjskiej, jako też składających ją przeważnie trzech żywiołów: polskiego, ruskiego i żydowskiego, z uwzględnieniem wpływu geograficznego ich rozmieszczenia. Mając na oku ścisłość i dokładność obserwacyi, ograniczono się do kilku znamion, mianowicie: obok wskazania wieku, płci i narodowości badano: 1-o jej wzrost i obwód piersi, 2-o barwę skóry, oczu i włosów, 3-o kształt głowy, twarzy i nosa, tudzież najgłówniejsze wymiary głowy i twarzy. Aby dojść do poznania szczepu w jego naturze pierwotnej a zatem do charakteru ludności, która najmniej z upływem wieków doznać mogła obcych wpływów i przymieszek, używano do obserwacyi przedewszystkiem włościan. Głównem źródłem dostarczonych komisyi spostrzeżeń były pobory do wojska austryackiego, stąd wywody niniejsze stosują się przeważnie do mężczyzn od 20—25 roku życia, chociaż starano się uwzględnić i kobiety.

Wzrost, jako wysokość ciała, uważanym być może pod różnymi względami — różne są bowiem czynniki, które nań oddziaływają: wiek, otoczenie i warunki życia, stan zdrowia, rasa i indywidualność. Badania dr. Majera dotyczą statystyki wzrostu. Według ostatnich wykazów, wzrost średni przeciętnego galicyanina wynosi 164 centymetrów. Po roku 25 życia, jeżeli się jeszcze powiększa, to w małej tylko części centymetra, po roku 30 już całkiem ustaje. Co do dzielnic geograficznych wzrost górali w porównaniu z mieszkańcami nizin jest większy o cały cm., wszakże do przewyżki tej dochodzi on dopiero w 25 roku. Przewaga, jaką tu mają rusini nad polakami we wcześniejszych latach życia, ginie później zupełnie. Dla porównania otrzymanego wypadku ze wzrostem innych ludów, dość przytoczyć niektóre wyniki badań Topinarda (Etude sur la taille w *Revue d'Anthropologie* t. V 31 in.). Najwyższy wzrost przypada, według niego, na ludy podbiegunowe i międzyzwrotnikowe. Z pomiędzy pierwszych wzrost średni lapończyków dochodzi 138 cm., nie o wiele mniejszy jest od podzwrotnikowych buszmenów. Do najwyższego zaliczają się w Europie norwegczycy, w Afryce kafrowie, w Ameryce północnej indyanie i polinezyjczycy. Wielu antropologów zgadza się na to, że *na różnicę wzrostu* nie tyle wpływają warunki życia miejscowe, ile pochodzenie, tak, że z tego powodu jest on cechą etnograficzną. Nikt naturalnie nie zaprzecza tem samem wpływów miejscowych, zwłaszcza pożywienia, inni przyznają w wysokim stopniu wpływ właściwościom geologicznym. Mieszkańcy np. na gruntach łupkowo-łojkowych (schistestalqueux) bywają niscy i brzydcy, podobnie jak np. barany na gruncie wapiennym są silne, krępe, na krzemienistym zaś żywe, mocne, ale małe i lekkie. Z uwagi jednak, że różnica daje się widzieć i przy podobnych stosunkach w okolicach sąsiednich, wnosi Boudin (*Bulletins de la Soc. d'Anthropologie*, ser. 1, t. IV. 251), że wzrost nigdzie nie wyraża dobrego bytu lub ubóstwa, lecz przedewszystkiem rasę i jest dziedzicznym.

Co się tyczy okolic górzystych, to powszechnem prawie jest przekonanie, że sprzyjają one wzrostowi większemu. Z zestawień dr. Majera widać też przewagę wzrostu w okolicach nad Bugiem i Styrem, górujących nad wszystkiemi innemi—w Galicyi. Słusznie ograniczono się tu w badaniach wzrostu żydów do ogólnych spostrzeżeń, bez uwzględnienia stosunku do położenia topograficznego. Mimo bowiem wielowiekowego pobytu w naszym kraju, żydzi nie zrośli się z ziemią o tyle, żeby wybić się na nich mogło piętno miejscowości. Unikając ciężkiej pracy rolnej, a goniąc za łatwiejszym zyskiem przenoszą się z miejsca na miejsce, skoro upatrzą do tego sposobniejsze pole; rzadko kiedy przebywa ta sama rodzina w jednem miejscu przez kilka pokoleń. Etnologiczne więc właściwości żydów nie są wyrazem odmiennych dzielnic geograficznych, ale ogólną cechą szczepową, różniącą ich od ludności rodzimej.

Drugą kategoryą właściwości fizycznych, obserwowaną w dawniejszych badaniach dra Majera, stanowią pomiary obwodu piersi. Jak dla oznaczenia kształtu czaszki uwzględnia się przedewszystkiem stosunek jej szerokości do długości, czyli t. z. wskaźnik (index) czaszkowy, tak dla uwydatnienia budowy ciała wprowadzono wskaźnik piersiowy, czyli stosunek obszerności klatki piersiowej do wysokości ciała (branej zawsze za 100). Z obliczeń dra Majera wynika, że obwód piersiowy w polskiej ludności Galicyi (po 20 roku życia) równa się prawie połowie wysokości ciała. W tej mierze przewyższają rusini polaków, a tem bardziej żydów, odznaczających się bardzo szczupłemi piersiami. Gdybyśmy wybrali z każdej narodowości osobę jednakiego wzrostu, to obwód ich piersi stosownie do powyższych wskaźników byłby u rusina: 84 cm., u polaka 83 cm., u żyda zaś tylko 81 cm.

Wiadomo, że w barwie skóry widziano dawniej główny charakter rasowy. Dziś, choćbyśmy jej ważności do tego stopnia nie podnosili, to zawsze uznać ją wypadnie za ważną cechę w charakterystyce plemion ludzkich. Nieporozumienia co do etnologicznego znaczenia barwy wypływają stąd, że jedni uważają ją za własność, powstającą i utrzymującą się dziedzicznie, a więc odznaczającą pewne szczepy i rody, inni znów czynią ją zależną od otoczenia, a mianowicie klimatu i jako cechę zmienną nie zaliczają do etnologicznych właściwości. U nas nie może być naturalnie mowy o barwach, uważanych za cechy rasowe; skóra ludności galicyjskiej ma zawsze barwę rasy białej i różni się zaledwie stopniem ogorzenia. Z tego powodu rozróżniono tylko: 1) barwę *białą*, t. j. cielisto-białą bez żadnego ogorzenia; 2) *płową* — jak mniej więcej ogorzała cera wieśniaków i 3) *śniadą*, spotykaną czasem u brunetów, zbliżoną do t. zw. cery wschodniej. Na 1000 polaków przypada barwy płowej 500 osób, białej 420, śniadej niespełna 80. W odniesieniu wszystkich do jasnej i ciemnej barwy, ludność z przewagą ma się do drugiej niemal jak 3:1. Przewaga barwy jasnej zwłaszcza płowej tak u polaków jak u rusinów jest widoczną. Spostrzeżenia Quatrefages'a (*Bullet. Soc. d'Antropol. de Paris, IV 139*), że z tej samej rasy mieszkańcy gór ciemniejsi są od mieszkańców równin, potwierdzają zestawienie dra Majera. Stosunek jasnej do ciemnej największy jest w okolicach podgórskich, zmniejsza się zaś w miarę posuwania się w jedną stronę ku nizinom, w drugą ku podhalom. W porównaniu z niemcami cera biała mało ma u nas przedstawicieli, największa bowiem jej cyfra stosunkowa u żydów nie wyrównа jeszcze najmniejszej w Bawaryi. Dodać jednak należy, że różnice te wynikają też z obserwacyi. Spostrzeżenia bowiem w Niemczech robiono przeważnie na uczniach, kiedy u nas czyniono je na osobach dorosłych.

Jeżeli zachodzi niejaka niepewność w rozgraniczeniu barw skóry, to jeszcze daleko trudniej określić oczy. Różnica bowiem ich ubarwienia, ściśle biorąc, nie jest jakościową, ale ilościową. Przyczyną barwy oczu jest — jak wiadomo — ten sam barwnik ciemny, przyczyną zaś jej odmienności—różna jego ilość i różna grubość przezroczystych warstewek tkaniny, przez które przebija w tęczówce. Stąd wynika pewna falistość odcieni już nawet w miarę położenia oka. Nie dziw więc, że nawet i biegły malarz doświadcza niemałej trudności, kiedy idzie o dokładne oddanie właściwej barwy oka. Tu, jak w kilku innych miejscach, okazują się tak wielkie różnice między wynikami obecnych a dawniejszych badań dra Majera, że wstrzymujemy się z oznaczeniem barw oczu w szczegółowych odcieniach. Tyle tylko pewna, że u polaków przeważają oczy jasne nad ciemnemi, wprost przeciwnie niż u żydów. Najwięcej zaś osób z jasnemi oczami widać u górali. Porównywając te wypadki z wykazami bawarskimi np., okazują się znowu znaczne różnice. Zachodziłoby wszelako pytanie: czy nie jest to skutkiem różnicy wieku osób, na których robiono spostrzeżenia? Jak bowiem barwa skóry z postępem wieku, pod wpływem otoczenia i sposobu życia, stawać się może ciemniejszą, tak znowu na odwrót, oczy przez grubienie warstw, z poza których barwnik tęczówki przebija, z biegiem lat tracić mogą początkowo silne wysycenie barwy. Ponieważ właściwości włosów, podobnie jak mowy, utrzymują się dziedzicznie, przeto stanowią one ważną cechę do rozróżnienia ras i narodów. Włosy jasne są u polaków o połowę częstsze od ciemnych (z wyjątkiem przewagi ciemnych na Podhalu), u rusinów jest przewaga barw ciemniejszych, czarnej nad brunatną, szatyna nad blondyna ośm razy większa, niż u polaków; stosunek więc jasnych do ciemnych przedstawia się tu zupełnie odwrotnie. Do charakterystycznej cechy żydów zaliczyć trzeba barwę rudą, bo chociaż w ogóle nie zdarza się ona często, w porównaniu jednak z innemi narodowościami trafia się tu stale i o wiele liczniej. Zresztą górują tu barwy ciemne włosów tak dalece, że jasne nie wynoszą ani połowy. Mniemano, że żydzi w Polsce, Niemczech i Alzacyi posiadają włosy blond, w Hiszpanii zaś i południowej Francyi czarne. Nie mamy pewności co do innych krajów, co się jednak tyczy żydów galicyjskich, to twierdzenie powyższe okazuje się z obliczeń dra Majera, dokonanych z największą ścisłością, zupełnie mylnem. Badaniem nad kolorem twarzy zajmował się także Virchow (*Beiträge zur physischen Anthropologie der Deutschen*). Chodziło mu głównie o to, żeby się przekonać, czy i w jakim stopniu utrzymuje się w Niemczech ów czysty szczep germański, któremu Tacyt przypisywał włosy blond, skórę białą i oczy błękitne? Poświęca więc jedną mapę rozpołożeniu ludności, łączącej w sobie te przymioty blondynów, na drugiej zaś pokazuje, jak się przedstawia typ ciemny brunetów. Wynika z tego porównania, że typ jasny, mający cechować pierwszych germanów, daje się jeszcze widzieć w $^1/_3$ całej ludności niemieckiej. Wobec tego, że ten typ jasny, czyli owa cecha germańska, występuje o wiele silniej u polaków, nie będziemy się dziwili z Virchowem, że „Poznańskie przewyższa ilością blondynów Szląsk, który przecież od wielu stuleci stał się już niemieckim i w którym ludność polska zupełnie usuniętą została" (zurückgedrängt).

Badania nad fizycznemi właściwościami kobiet nie mają już tej pewności, co poprzednie, ze względu na stosunkowo małą ilość spostrzeżeń, zebranych przez komi-

*) Prof. Majer i dr. Kopernicki: *Zbiór wiadomości do antropologii krajowej*. Kraków, 1876 — 1886, tom I—IX.

syę antropologiczną. Polki galicyjskie są o 11 centymetrów niższe od mężczyzn; z 25 rokiem ustaje ich wzrost zupełnie. Jasna barwa skóry w porównaniu z ciemną bywa daleko liczniejszą. Na 100 śniadych pań mamy białych (naturalnie nieblanszowanych) aż 373. Co do oczu przeważają piwne, jasnych o połowę mniej niż u mężczyzn. Co do włosów, podobnie jak u mężczyzn, widać stałe zwiększanie się włosów jasnych. Na 100 szatynek przypada 148 blondynek. Ze względu więc na przewagę jasnej barwy ócz, włosów i skóry można uważać polkę za typ czysto jasny. Rusinki, w porównaniu z kobietami polskiemi, są mniejsze blisko o 1 centymeter. Białość skóry częściej się tu spotyka, niż u mężczyzn, o wiele jednak rzadziej, niż u polek. Ciemna barwa oczu i włosów daleko tu częstszą niż u polek. U żydówek widzimy przewagę jasnej nad ciemną barwą skóry, na odwrót zaś ciemnej nad jasną w oczach i we włosach. Ogólny więc typ żydówek jest mieszany (z przewagą brunetek).

Zestawiając ostateczne wyniki badań dra Kopernickiego co do charakterystyki kraniologicznej polaków, rusinów i żydów, można powiedzieć, że wspólną cechą wszystkich trzech narodowości rasy mieszanej jest t. z. typ krótkogłowy, który u polaków i rusinów przedstawia się w wyższym stopniu, niż u żydów. Blondyni i brunneci każdej z tych narodowości, nie wyłączając żydów, nie różnią się zgoła pod względem kształtu głowy. Szerokość czoła okazała się tak niestałą, że jej nawet nie zaliczono do ogólnej charakterystyki. Pod względem kształtów twarzy, także nader niestałych, okazują się u polaków twarze okrągłe i szerokie daleko pospolitsze niż, u rusinów i żydów. Kształt nosa u wszystkich przeważnie prosty, u żydów bywa częściej garbaty, niż u innych. Znacznie mniejsze od męzkich głowy polek i rusinek są nieco większe od kobiecych żydowskich. Kształty typowe twarzy kobiet galicyjskich w ogólności różnią się bardzo mało od męzkich, przedstawiają więc te same prawie właściwości, tj.: u rusinek widzimy częściej twarze wydłużone i owalne, niż u polek i żydówek, majacych przeważnie twarze okrągłe lub szerokie. U polek widać często nosy płaskie, u rusinek zadarte.

H. B.

LITERATURA I SZTUKA.

JĘZYKOZNAWSTWO.

J. Polivka. **Polština v horní stolici Oravské** (Polszczyzna w górnem hrabstwie orawskiem), odbitka ze zbioropisma czeskiego „Listy filologické a pedagogické“ z r. 1885, str. 463 — 471. Praga.

Skromnych rozmiarów, ale ważny to przyczynek nietylko do gwaroznawstwa, ale i do ludoznawstwa naszego. Tuż za granicą galicyjsko-węgierską. w komitacie orawskim, powiecie trciańskim, w pięknej, górskiej okolicy, na stokach południowych Babiej-góry, w dwudziestu kilku wsiach mieszka przeszło 27.000 polakow, którzy, według słów autora, zgoła nie są świadomi swej narodowości; wiedzą, że inaczej mówią od sąsiednich słowaków, ale utrzymują, że mówią „po nasemu;“ a jeżeli ktoś im powiada, że owo „po naszemu“ jest mową polską, to stanowczo temu zaprzeczają. I to o mil niecałych dziesięć od Krakowa, gdzie pan Rogoziński zachwyca słuchaczów opowiadaniem o swych odkryciach afrykańskich i gdzie się zakłada Towarzystwo geograficzne dla badania całego świata, z łaskawem „uwzględnieniem własnego kraju.“ Do jakiego stopnia dochodzi u nas obojętność i niewiadomość co do rzeczy najbliższych, łatwo się przekonać, zajrzawszy do naszych encyklopedyj w sprawie tych babiogórców węgierskich. W wielkiej, pod wyrazem Arwa (Orawa), czytamy, pomiędzy innemi: „Komitat... *zamieszkany przez słowaków*... liczy około 84.000 mieszkańców, z których 73,600 katolików“ itd. W mniejszej, Ungra, p. w. Arva: „Komitat... liczy 120,000 *mieszkańców, po większej części słowaków.*“ W obu artykułach ani słówka o polakach. Dopiero „Słownik geograficzny“ coś się dowiaduje o tych zapomnianych naszych rodakach. Tak np. pod nazwą *Lipnica dolna*, czytamy: „mieszkańców 2,828 (w tem *podobno* 2.672 polaków);“ pod *Lipnicą górną*: „mieszkańców 1,614 (w tem *podobno* 1.574 polaków);“ wsi te właśnie leżą w zajmującym nas obszarze. Czyż nie mamy tedy prawa uprzejmie prosić p. Rogozińskiego i panów członków rodzącego się Towarzystwa geograficznego, aby, po drodze do Afryki, raczyli wstąpić do Lipnicy i wsi sąsiednich, a może nawet *wyeksplorować* na prędce całą granicę galicyjsko-węgierską i poszukać, ażali nie znajdą się po za nią jacy biali murzyni, którzy, mówiąc czysto po polsku, nie wiedzą, że używają mowy polskiej i że są polakami.

Po tej przygodnej wycieczce, wracam do broszury młodego profesora lingwistyki na uniwersytecie czeskim w Pradze.

W ciągu przeszłych wakacyj bawił on czas niejaki w „zapomnianym owym zakątku świata,“ jak powiada, i ze zdziwieniem, zamiast oczekiwanego jakiegoś mieszanego narzecza słowacko-polskiego, znalazł tam mowę czysto polską, w postaci gwary bardzo zbliżonej do narzecza zakopańskiego, opisanego w tomie X. „Rozpraw Akad. Krak. filolog.“ przez panów Kryńskiego i Kosińskiego, z pewną przymieszką słowaczyzny. Mówiący nią lud mieszka w 25 wsiach, których nazwiska autor wylicza, a między któremi są osady, liczące przeszło dwa i trzy tysiące mieszkańców. Z księg kościelnych pan P. wypisał kilkaset miejscowych nazwisk rodowych: ważny to przyczynek do imionoznawstwa naszego. Podaje dalej krótki opis gwary, a na końcu, jako próbkę jej, zamieszcza podanie o „Zaklętym szałasie,“ w którym figurują „kuźloce“ (duchy psotne) i „cegon“ (cygan).

Jan Karłowicz.

LITERATURA NIEMIECKA.

NOWY FAUST.

Od pół wieku przeszło pomiędzy uczonymi niemieckimi wre walka zacięta o drugą część *Fausta*. W ojczyźnie wielkiego poety wytworzyła się liczna falanga pisarzy, którzy za wyłączny cel życia obrali sobie badanie i wyjaśnianie tej jednej książki i którzy w tych komentarzach swoich nieraz dochodzą do śmieszności. Publiczność wprawdzie mało się troszczy o te spory bezcelowe; zachwyca się pełną piękności poetycznych i głębokich myśli pierwszą częścią tragedyi Goethego, co zaś do drugiej, przetkanej mistycyzmem i dziwacznemi alegoryami, otwarcie wyznaje, że jej nie rozumie. To jednak bynajmniej nie zraża uczonych, którzy z nieostudzonym wciąż zapałem dalej prowadzą swą bezowocną pracę.

Przeciwko tego rodzaju zaślepionym goethologom wymierzony został utwór, który świeżo w powtórnem ukazał się wydaniu. Jest to wierszowana parodya drugiej części *Fausta*, wraz z niepospolitą siłą słowa łącząca gryzącą ironię, wiedzę gruntowną i prawdę, tem większej godna uwagi, że ukrytym pod niesmacznym nieco pseudonimem Mistyficińskiego autorem jej jest znany poeta i estetyk niemiecki Teodor Vischer*).

Poemat, o którym mówimy, przedstawia losy Fausta od chwili opuszczenia przez niego padołu ziemskiego. Nie zostaje on wprost wziętym do nieba, lecz dla ostatecznego oczyszczenia się z grzechów skazanym na czasowe mieszkanie w przedsionku do tych sfer najwyższych. Obowiązki gospodyni i mentorki pełni u niego Lieschen, przyjaciółka Małgorzaty; dla wydoskonalenia się w cnocie cierpliwości i pokory musi wykładać drugą część *Fausta* zmarłym a swawolnym chłopcom; Walenty zaś, któremu w nagrodę męczeństwa za życia dozwolono utrzymywać knajpkę dla ochłody zdążających ku niebu pielgrzymów — silną pięścią osłania go przed zbyt natarczywemi pokuszeniami ze strony Mefistofelesa, a czasem i — porządnie łyknąć nie zabrania. W epilogu autor wyprowadza na scenę kilku komentatorów z charakterystycznemi nazwiskami: Denkerke, Denterke, Grübelwitz, Brösamle itp., którzy przy kufelku piwa w karczmie Walentego wygłaszają swe zasady. „Poeta — mówią — jest ukrywaczem; stroni od wszystkiego, co ma jedno znaczenie i czeka odkrywcy, któryby myśl jego zdobył. Tylko objaśniać, tylko objaśniać, ale na sąd własny się nie odważać; tylko uwielbiać, tylko uwielbiać, czy to zaś będzie poezya — nie pytać. To, co się rozumie bez trudu, jest jakby jadłem pospolitem; najprzedniejsze ciasta swego pieca zastawia nam wieszcz w zagadkach. Niechaj świat wie, że *Faust* Goethego mieści całą historyę cywilizacyi Niemiec: ciemnota średniowieczna w części pierwszej, w drugiej postęp na drodze do humanizmu w walce z przesądami i despotyzmem — pod zasłoną naturalnie, gdyż wielki poeta obawiał się, aby nie stanęły przeciwko niemu rządy, kler, prasa, a nawet naród sam. Tu cały świat materyalny jest jedynie przenośnią intelektualnego; cienie znaczą nieświadomość; światło — słońce — źródło wszelkiego życia umysłowego; księżyc natomiast — władztwo kościoła, średniowieczczyznę; powietrze — ideały“ itd. itd.

Pod koniec autor występuje sam i w obszernej rozmowie z duchem Goethego tłomaczy się i wyjaśnia, jakie pobudki go skłoniły do napisania tej parodyi. „Wybacz — woła — wybacz, powiem bez wahania: w drugiej części twojego dramatu nie znajduję niemal zdania, niemal wiersza jednego, któryby nie był dziwacznym i manierowanym, tak, że mi w głowie się kręci, syczy, brzęczy, łechce, przewraca, puchnie i rozciąga. Ilekroć ją czytam, jakby zły duch jaki mi siedział na karku, muszę w tym samym tonie snuć dalej nić zerwaną, rymować, wiercić, ciosać, wąchać, kleić i naprawiać.“ Na uwagę zaś Goethego, że nie należy urągać duszom wybranym, choćby nawet dzieło ich było mniej udatnem — odpowiada: „Gdybym z tobą samym miał do czynienia, byłbym może ostre me pióro pozostawił w spokoju. Ale owi na ślepo wynoszący cię wielbiciele, wyjaśniacze scholastyczni, mistrze drobiazgowi, famulusi, którzy zadowoleni z siebie pod płaszczem twoim gniazda sobie ścielą, tylko tłum ten jest winien, że naganą z mej strony stała się urąganiem; tobie, jak mniemam, dawno już łuska spadła z oczu.“ A w innem miejscu: „Nie boli, gdy talent wątpliwy zapuszcza się w manierę, w szukanie formuł tajemniczych,

*) Deutobold Symbolizetti Alegorowitsch Mystyfizinsky. *Faust*, der Tragedie dritter Theil. Wyd. 2-gie. Tübingen, 1886; str. 224.

lecz gdy tak czyni geniusz — o, to ból straszliwy, to kłuje i pali i rozsadza!"

Rzecz cała kończy się prześlicznym dytyrambem na cześć Goethego i ułaskawieniem autora przez poetę.

Brak nam tu miejsca na przytoczenie wybitniejszych z pracy Vischera ustępów. Szczerze jednak radzimy czytelnikom wziąć do ręki książkę samą, która obok prawdziwej przyjemności, niewątpliwie da im przekonanie, że satyra w niej zawarta nietylko do Goethego i jego wielbicieli może być odniesioną.

Ad. J. Cohn.

LITERATURA FRANCUSKA.

E. Théry. **Les Reformes économiques nécessaires.** I tom. Paryż, 1886.

Książka ta, zaopatrzona przedmową jednego z przywódców francuskiego radykalizmu, p. Lacroix (Krzyżanowskiego), zajmuje się trwającem wciąż we Francyi przesileniem rolnem i przemysłowo-handlowem. Autor przyznaje sam, że przystąpił do zbadania tej, będącej dziś na porządku dziennym sprawy, bez poprzedniego teoretycznego przygotowania. Uchroniło go to może w pewnej części od powziętych z góry uprzedzeń, odebrało jednak pracy charakter naukowy, pozbawiło ją idej zasadniczych, które pozwalają nam oryentować się w licznych szczegółach i drobiazgach. Książka jednak powyższa przynosi z sobą wiele faktycznego materyału dla wyjaśnienia obecnych stosunków ekonomicznych we Francyi, zawiera przytem niejedną wskazówkę praktyczną. Autor starał się projektować swe reformy w duchu demokratycznym.

L. Hugonnet. **Le Réveil National.** Paryż, 1886.

Jeden z redaktorów paryskiego dziennika *La France*, niedawno korespondent specyalny tegoż pisma z placu boju w Serbii i Bułgaryi, wydał świeżo tom znacznej objętości, w którym — jak powiada — „streścić pragnął piętnaście lat podróży, studyów i rozpraw polemicznych." Wskutek nieszczęść, które dotknęły Francyę w czasie ostatniej wojny francusko-pruskiej, Hugonnet zamierzył odszukać przyczynę klęsk narodowych i wskazać drogi, na których Francya odzyskałaby dawne swe stanowisko *polityczne* i wpływy. Jak widzimy, autor zacieśnił sobie dobrowolnie zakres swego badania do polityki zagranicznej, to też i wywody paryskiego publicysty noszą na sobie ten jednostronny charakter. Pomijając wewnętrzne stosunki społeczne kraju i jego ustrój polityczny, Hugonnet widzi przyczynę upadku Francyi w nieznajomości innych narodów, tak powszechnej w jego ojczyźnie. Prócz tego, zarzuca on krajowi swemu brak jasno wytkniętej „polityki narodowej." Głównym tedy warunkiem „odrodzenia" Francyi jest bliższe zapoznanie się z obcemi społeczeństwami i stworzenie owej polityki narodowej. Autor jest także zwolennikiem „roztropnej i umiejętnie prowadzonej kolonizacyi, bo to wzmacnia stanowisko kraju na zewnątrz." Sam zresztą nie wyjaśnia nam programu polityki, jakiejby — zdaniem jego — Francya trzymać się powinna, daje natomiast rozdział zatytułowany: „Culte de la Patrie," który obfituje w górnolotne frazesy i wylewy uczuć, jest jednak pozbawiony wszelkich głębszych poglądów. Pewną wartość mają jedynie spostrzezenia i informacye w formie wspomnień z podróży po Turcyi, Egipcie etc.

E. Reclus. **Nouvelle géographie universelle.** Tom VI. *Afryka północna.*

Świeżo wydany tom pomnikowej pracy Reclusa zapoznaje nas z Tunisem, Trypolisem, Algierem, Maroko i Saharą. Autor opisuje szczegółowo, z nieposolitą znajomością rzeczy, stwierdzoną naocznemi badaniami, orografię i hydrografię tych krajów, ich ludność i kulturę, wreszcie podziały polityczne i administracyjne. Praca ta zawiera w tekście 160 kart i 85 rysunków; prócz tego 4 kart kolorowanych w formie dodatku. Zbytecznem byłoby rozpywać się obszernie nad wartością tego dzieła.

C. A. Adam. **Essai sur le jugement esthétique.** Paryż, 1885.

Kilka prac z dziedziny estetyki pojawiło się ostatnimi czasy we Francyi. Pomijając książki: Sully-Proudhomma, Séaillesa i Guyau'a, podamy kilka szczegółów o dziele, którego tytuł wypisaliśmy w nagłówku. Autor idąc śladem Kanta, którego teoryę, zmienioną nieco, wznawia w swej pracy, stara się ściśle wyosobnić sąd estetyczny od innych objawów duchowych, stając w sprzeczności z nowszą estetyką analityczną, która każdy objaw psychiczny usiłuje rozłożyć na jego składowe pierwiastki i wykryć między nimi dalsze lub bliższe pokrewieństwo. Poczucie piękna, według niego, wypływa z harmonijnego współdziałania wyobraźni i władz umysłowych. Utrzymuje on również, idąc tym razem za Tomaszem z Akwinu, że wolna wola jest produktem wahania się ducha między sprzecznemi dążeniami umysłu i zmysłów. W ogóle praca pierwszy raz — o ile wiemy — występującego autora, nie przynosi nic nowego, wznawia raczej rzeczy stare. Odnowienie to jednak dokonane zostało nie bez talentu i wiedzy.

F. Ogereau. **Essai sur le système philosophique des Stoïciens.** Paryż, 1885.

Jest to praca nagrodzona świeżo na konkursie Akademii nauk moralnych, która temat powyższy wyznaczyła do współubiegania się jeszcze w 1874 r., trzy razy go następnie przedłużała, póki p. Ogereau nie zdobył 1000 franków. Sprawozdanie Akademii oddaje znaczne pochwały tej książce i uważa ją za wyczerpującą przedmiot wielostronnie.

L. Léger. **La Bulgarie.** Paryż, 1885.

Znany slawista francuski zebrał w tej książce kilka prac napisanych już dawniej w zakresie bulgarskich dziejów, literatury i niedawnego narodowego odrodzenia. Nie brak także szczegółów, wyjaśniających dzisiejsze położenie młodego księstwa. Winę bratobójczej walki między serbami i bułgarami autor przypisuje traktatowi berlińskiemu, który oddając Austryi Bośnię i Hercegowinę, zamknął Serbii naturalne granice rozwoju i terytoryalnego powiększenia. Między innymi zamieścił prof. Léger w pracy powyższej przekład pamiętników biskupa bułgarskiego Sofroniusza, malujących żywemi barwami ucisk turecko-fanaryocki w dawnej Bułgaryi.

Les Français en Russie et les Russes en France. Paryż, 1886.

Rosya jest w modzie obecnie nad Sekwaną; to też się wciąż pojawiają prace zapoznające Francyę z historyą, literaturą lub stosunkami obecnymi w państwie rosyjskiem. Autor pracy powyższej zajmuje się głównie oddziaływaniem Francyi na bieg rzeczy w Rosyi od czasu Ludwika XIV, podając wiele szczegółów mało znanych dotychczas lub zapomnianych.

A. Marchand. **Les poètes lyriques de l'Autriche.** Paryż, 1885.

Przed pięciu już laty autor wydał pierwszą swą seryę o poetach lirycznych Austryi, w której zapoznał publiczność francuską z Lenauem, Bettym, Paolim i Feuchterslebenem. Świeżo puszczony tom zawiera charakterystyki: M. Hartmanna, Józefiny Knorr, Roberta Hammerlinga i Lorma. W trzecim tomie przedstawi zapewne Anastasiusa Grüna, Grillparzera i zmarłego niedawno Meissnera. Praca ta ma tę zaletę, że ukazuje Francyi po raz pierwszy lirykę... austryacką.

P.

POLSKIE PRZEDSTAWIENIE AMATORSKIE W PARYŻU.

Paryż, 1 marca.

Z placu Pigalle, do którego wpadają wielkie aleje bulwaru Clichy, zbacza na lewo wązka i kręta uliczka, nosząca nazwę Passage de l'Elysée des Beaux-Arts, przy pasażu zaś tym wznosi się skromny przybytek Melpomeny, który otworzył swój lokal gościnny dla polskiego amatorskiego teatru.

Przedstawienie urządzało stowarzyszenie kształcącej się młodzieży polskiej, przeważnie studenci i studentki medycyny. Młodzież, porzuciwszy skalpele i sekcye, wystąpiła chwilowo w roli improwizowanych artystów dramatycznych.

Dawano trzy sztuki: komedyę Blizińskiego *Chleb ludzi bodzie*, jednoaktowy dramat Wł. Okońskiego *Błazen* i krotochwilę w jednym akcie p.t.: *Czwartki*, oryginalnie napisaną przez Piotra Niezgodę.

Jednoaktówka Blizińskiego znaną jest ze scen amatorskich i nieamatorskich. Państwo Kiksowie trzymali ongi w Warszawie restauracyę, zbogaciwszy się zaś nieco, przerobili się na Kiksiewiczów, kupili wioskę i pragną córkę swą Jadwinię wydać za jakiego hrabicza. Ma się to stać za sprawą pachciarza Szwindelmana, który dziewosłębiając gorliwie, sprowadza jednego z swych niewypłacalnych dłużników do Kociej Górki. Okazuje się jednak, że Kiksiewicze, zawikłani obcemi sprawami, majątkowo nie stoją tak świetnie i zagrożeni są pozwem, szwidelmanowski konkurent wycofuje się z nieszczególnej swej roli i Jadwinia wychodzi za mąż za pana Onufrego, prowentowego pisarza, który kocha ją ze wzajemnością i przyrzeka Kiksiewiczów wyciągnąć z majątkowych kłopotów. Wiejska ta sielanka, zaprawiona morałem i pomyślnie zakończona wyjściem Numy za Pompiliusza, pełna jest życia i ruchu, nie zbywa jej na epizodach komicznych, ubawiła też licznie zebraną na przedstawieniu polską publiczność.

Błazen Wł. Okońskiego wprowadził ją w inne czasy i w inny krąg wyobrażeń. Rzecz się dzieje w Lublinie trybunalskim, w pierwszej połowie osiemnastego wieku. Michał Pielesz, szlachcic dziedziczny, prześladowany jest przez samowładnego wojewodę, który stara się wyzuć swą ofiarę z mienia, imienia i godności szlacheckiej, ażeby tylko posiąść jego piękną żonę, panią Justynę. Pielesz broni się, wspierany przez zdolnego i uczciwego palestranta Ambrożego Piskorza; nic to jednak nie pomaga, sądy bowiem i trybunały ulegają wpływom i brzęczącej kiesie magnata. Wyrzucony z ojcowizny, idzie w świat z torbami, zostawiając żonę na pastwę wojewodzie. Justyna nie zdaje się atoli być wcale niezadowoloną z tej zmiany i łaskawie wita bogatego wojewodę. Pieleszowi w tułaczce jego towarzyszy Marek, Błazen, wypowiadający w ciągu sztuki filozoficzny morał dramatu. Amatorowie odegrali *Błazna* nader starannie i inteligentnie. Umyślnie sporządzone kostiumy odtwarzały wiernie przedstawioną epokę.

Krotochwilny wątek *Czwartków* zaczerpnął autor z życia kolonii polskiej w Paryżu. Rabusiewicz, kapitalista, polski emigrant, przerobiony na paryskiego *burgeois*, przyjmuje co tydzień, w czwartki, ma bowiem szesnastoletnią Jadwinię na wydaniu. Chodzi o złowienie przyzwoitego konkurenta. Z chwalebną pieczołowitością myśli o tem zarówno papa jak i mama. Rabusiewicz chwycił gdzieś na bulwarach młodego podolaka Gawrońskiego, który przybył do Paryża dla dokończenia swych studyów rzekomo i ciągnie go do jedynaczki; mama zaś, ulegając wpływom księdza Ksawerego, przychyla się do kan-

dydatury p. Joachima Świerczyńskiego, literata, lat 40, przemawiającego nader górnolotnie i czule na emigracyjnych obchodach a nawet piszącego wiersze. Całe towarzystwo znajduje się w komplecie pewnego czwartku i gra prowadzi się przez obie strony. Na nieszczęście zjawia się kapitan Wilczura, natura otwarta i rubaszna i w niwecz obraca zręcznie uplanowane zabiegi. Młody podolak naraża się na srogi gniew i zemstę pana kapitana, zamiast bowiem wysłuchać cierpliwie do końca opowiadania o jakiejś krwawej bitwie, w której Wilczura odegrał rolę niepoślednią, porzuca go w pełnym narracyjnym zapale, Rabusiewicz bowiem ciągnie go do Jadwini, nalewającej herbatę w sąsiednim pokoju. Kapitan obrazy takiej nie przebacza i postanawia ukarać młokosa. Nastręcza się niebawem ku temu sposobność. Mowa jest o przygotowującym się właśnie obchodzie emigracyjnym, na który pan Joachim sążnisty wiersz napisał. Brak właśnie deklamatora i Wilczura nalega wraz z Jadwinią, żeby wiersz oddeklamował pan Hipolit Gawroński. Młodzieniec wymawia się, jak może, powiada wreszcie naiwnie, że jest za paszportem, a ojciec zabronił mu wdawać się w jakiekolwiekbądź głupstwa... Wilczura wybucha śmiechem, a p. Hipolit, nazwany tchórzem, rejteruje za drzwi. Kapitan, znękany walką, nie poprzestaje jednak na tem zwycięstwie. Nie obwijając w bawełnę, Wilczura kompromituje układnego faryzeusza ojca Ksawerego i jego siostrzeńca żartami o jakiejś księżowskiej siostrzenicy i ostatni schodzi z placu boju zwycięzcą. Rzecz zapisana z werwą i talentem przez występującego po raz pierwszy autora, który debiutem tym ujawnił niepoślednie zdolności pisarskie i dar spostrzegawczy. Amatorowie doskonale wywiązali się ze swego zadania. Publiczność oklaskiwała sztukę zawzięcie i pod koniec wywołała autora.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

List starej panny. — Filozofia niewieściego puszku. — Nadmiar artykułu spożywczego. — Chmiel bez tyczki. — Nowe drążki. — Heraldyka niewieścia i jej znaczenie. — Rzesza postępu. — Wykłady Brandesa. — Co mu pokazaliśmy. — Co on nam powie. — Rzetelne rachunki.

Karnawał minął, więc można dać głos „starej pannie.“ Jedna z nich wzywa mnie listownie, ażebym stał się pośrednikiem skargi towarzyszek jej niedoli, upośledzanych, poniewieranych i prześladowanych. Szan. korespondentka zapewnia — o czem, wyznaję, nie wiedziałem — że od lat kilku zaczęła się objawiać „reakcya w zapatrywaniu mężczyzn na wybór przyszłych towarzyszek życia“— „i oto papiery starych panien poszły w górę.“ Ale przeciwko tej zwyżce urządziły kontrminę matki młodych, nie szczędząc w walce środków niegodziwych. Naturalnie ja ani na podtrzymanie reakcyi w mężczyznach, ani na osłabienie agitacyi matek nic a nic wpłynąć nie mogę, ale mogę „starym pannom“ wskazać właściwe źródło ich nieszczęścia — filozofię „puszku niewieściego.“ Jest to filozofia, uważająca kobietę za „kapłankę“ domowego ogniska z ołtarzem w sypialni i dlatego zasłaniająca jej twarz przed wszystkiem, co się nazywa prawdą i wiedzą. Według tego systemu, który dotąd posiada większość w sejmie ludzkości, „puszek“ młodości i niewiadomości stanowi rozum i cnotę „płci pięknej.“ Ponieważ zaś puszku takiego nie może mieć panna stara, więc traci racyę bytu, nie spełnia swego „przeznaczenia.“ Mężczyzna jest mężczyzną i człowiekiem; chociaż więc zostanie starym kawalerem, posiada swą wagę ludzką, niezależną od roli małżeńskiej. Tymczasem, według panującego obecnie katechizmu społecznego, Bóg stwarzając Ewę, tak do niej powiedział: będziesz młodą panną z puszkiem, który Adam zetrze i spożyje cię: wtedy zginiesz w nim i jego dzieciach. Konsekwentnie z tym dogmatem, każda Ewa, która nie znalazła swego Adama, nie ofiarowała mu swego puszku, nie zamknęła się w klasztorze rodzinnym, jest istotą zbywającą, bez celu, bez wartości. Wystawmy sobie, że społeczeństwo potrzebuje do spożycia pewną ilość kurcząt i że corocznie ma zbywających kilkadziesiąt tysięcy, które musi chować, karmić, ale nie ma z nich żadnego użytku. Po pewnym czasie zacznie narzekać na stare kury i uzna je za symbol pasorzytów. Podobnie zrobiono z kobietami. Odmówiwszy im godności ludzkiej i roli samodzielnej, przeznaczywszy je do zadowolenia mężczyzn i opieki nad dziećmi, pozbawiono praw obywatelskich wszystkie, które tych „przeznaczeń“ spełnić nie mogły. Dla ogromnego zastępu osobników ludzkich, dla umysłów nieraz dzielnych, dla serc czystych urządzono w literaturze i obyczajach śmietnik, zrobiono zagrodę, do której „starą pannę“ zapędza z taką samą śmiałością łobuz uliczny, jak i poważny publicysta. Starożytni porzucali dzieci ułomne pod jakąś kolumną, ażeby tam umierały. Podobną kolumnę wystawiła nowożytność dla starych panien. Porzuca te kaleki, pragnie się ich pozbyć, a gdy słyszy ich płacz i skargi, ucieka i uszy zatyka. To samo robią dotąd dzicy. Kobietę, na którą nie padła nigdy łaska mężczyzny, uważają za gorszą od kulawej lamy, bo chociaż ta w wędrówkach ustaje, ale ją przynajmniej zjeść można, a starej panny — nie.

Niewątpliwie istnieje w tej sprawie błędne koło. Istota, którą od dzieciństwa przygotowywano do życia przez mężczyznę i dla niego, która umie to tylko, czego on od niej wymagać będzie, nie zdobywszy go, zwykle wyrasta jako garb, jako nowotwór na pniu rodzinnym, nie posiada własnej podstawy, sił i celu: je, ubiera się, rozbiera, płacze, cicho liczy lata a głośno złorzeczy — to główne jej funkcye. Że nie dostaje kłów i pazurów — bardzo się dziwię naturze, rozdającej przecie wszystkim swym tworom broń do walki o byt. Bo nawet niewinny chmiel, gdyby został pozbawiony tyczek, na których się opiera, i gdyby po jego zwojach na ziemi deptały wszelkie nogi, z pewnością wyrobiłby w sobie ostre żgawki. Stara panna je ma, ale za słabe w stosunku do upośledzenia.

Więdnąc w niem, dostrzegła ona, że po świecie chodzi jakiś nowy duch, który zatyka po różnych drogach wysokie drążki z tabliczkami. Zaczęła więc ku nim pełzać i owijać się. Dosięgnąwszy wierzchołka, przeczytała na jednej z tabliczek słowa: kobieta nie jest przyjemnością mężczyzny, lecz człowiekiem. Od tej chwili stara panna stała się wyznawczynią nowej wiary, głosicielką wyzwolenia, buntownicą, spiskującą przeciwko rządom niewieściego pyłku. Daremnie stróże tradycyi i poddani władczyń monogamicznego i poligamicznego haremu tłomaczą jej, że ta nowa filozofia, która usiłuje kobietę równouprawnić z mężczyzną, uzdolnić ją do życia samodzielnego, uczynić ją oświeconym człowiekiem, ściera idealny puszek, gubi duszę, burzy rodzinę — stara panna trwa w swym uporze. Sądzi ona nawet, że to równouprawnienie płci, to wyzwolenie kobiety za pomocą oświaty jest szlachetniejszem od zaszczytnej w tytułach, ale obelżywej w pojęciach heraldyki niewieściej idealizmu. „Kapłanka,“ „matrona,“ „czysta dziewica,“ „westalka,“ „bluszcz,“ „róża,“ „bogdanka,“ „pani serca“ itp. nazwy brzmią wspaniale, ale wszystkie razem wyrażają albo wartość pięknego ciała, albo niedołęstwo umysłu, albo jednem i drugiem wysłużoną emeryturę. Nie chcę być tylko słodką i barwną jagodą, rozpływającą się w ustach mężczyzny — woła już dziś coraz częściej kobieta, a woła tem częściej, im mniej się spodziewa — wyjść za mąż.

Dzięki temu wszystkiemu stare panny nie schodzą ze świata bezpotomnie, gdyż wich pomarszczonych troskami, wyschłych i dojrzałych głowach rodzą się ziarnka postępu. Jest to paskudnem znamieniem cywilizacyi, że w niej przechowała się taka dzika instytucya, taka warstwa istot, skazanych na powolną zagładę, ale ja błogosławię wszelkie cierpienie, wszelką niedolę, wszelką ofiarę, z której dymów wybłyskuje ogień rozpraszający mroki. Z tego też względu pragnąłbym jeszcze długo zachować w obfitości stare panny. Gdyby nie one, może dotąd kobieta nie pomyślałaby o emancypacyi i żyła w wygodnem poddaństwie, w puchach i kadzidłach zmysłowego zadowolenia, umalowana kłamstwem, pachnąca wszystkimi olejkami, drażniącymi rozstrojone nerwy męzkie. Zawiedziona, osamotniona, uboga, bezradna, pouczona doświadczeniem, zaczęła rozumować i doszła do wniosku, że jest również człowiekiem, że powinna zdobywać sobie stanowisko samodzielne, gasić światło nad swą głową a zapalać je w głowie. Ile starych panien, tyle prawie wyznawczyń postępu, kolporterek jego idei.

I pani chcesz — szan. korespondentko — żebym ja się litował nad Tobą i podobnemi Tobie? Ani myślę! Któż będzie nad tem pracował, żeby kobieta nie była artykułem spożywczym, lecz człowiekiem? Szczęśliwe „kapłanki?“ Tego od nich wymagać niepodobna.

Jestem również przekonany, że na wykłady Brandesa o literaturze polskiej pójdą stare panny. Dla młodych jest on naprzód żonaty, a powtóre przestał być modnym. Przeszłego roku należało do szyku wyprawić bal z Brandesem; obecnie, gdy on chcąc poznać nasze społeczeństwo, wszedł do różnych towarzystw, wszędzie, gdzie przed nim drzwi gościnnie otwarto, gdy bez dumnych i lekceważących spojrzeń, bez siadania na trójnogu, z rzetelną demokratyczną prostotą zbliżył się do każdego, otworzył głowę własną i zajrzał do cudzych — zaczęto go uważać za spowszedniałą już dekoracyę salonową. O, bo my posiadamy dziwny talent fotografowania ludzi wielkich w małym formacie, jeżeli oni tylko nie kryją się przed nami w obłokach. Cudzoziemca może to nie obchodzić, bo on nie naszem uznaniem żyje; ale obchodzić powinno nas, nawykających do płytkich i pustych sądów, do bawienia się ludźmi i rzeczami poważnemi. Po raz drugi już mamy od kilku tygodni śród siebie pisarza wysokiej miary, europejskiej sławy, szerokiego wpływu, pisarza, który nas polubił, który zapewne nieraz głos o nas zabierze, głos szeroko słyszany, i jakże się zachowujemy? Pokazujemy mu zasobne kuchnie i bogate salony, śmiejemy się z jego dowcipów i sykamy na szorstkości. Ale czy dosyć staraliśmy się o to, ażeby on poznał nasze siły i dorobki, nie to, co jest naszym galonem, ale to, co jest naszą krwią, nerwami, mózgiem, sercem? Powiedzmy szczerze, jeśli nas z tej strony zbadał, winien przedewszystkiem sobie. Uśmiechnięto się złośliwie, gdy zapowiedział odczyty o literaturze polskiej. Nic przecie, że tłomaczenia otworzyły mu do niej ciasny dostęp, ale je wyzyskał. Zresztą gdyby na katedrze stanął szpak i zaczął mówić o świecie, pospieszylibyśmy go chętnie dla zobaczenia, jak też świat przedstawia się szpakowi. Jakimże ciekawszem interesem jest dla nas usłyszeć, co o naszej literaturze myśli znakomity badacz, chociażby nawet ją tylko ogarnął częściowo? Zwłaszcza my, których język nie sięga po za granice kraju i którzy skutkiem tego rzadko spotykamy cudze o sobie zdania, zwłaszcza, my zaśniedziali w własnych o sobie sądach, powinniśmy ze szczególną uwagą posłuchać Brandesa. W jego *Gló-*

wnych prądach literatury XIX w. nie mieliśmy swego miejsca; pominął on nas, jak gdybyśmy w rozwoju duchowym Europy nie przyjmowali żadnego udziału; teraz wiąże literaturę polską z owymi „prądami,“ wprowadza ją do ogólnego obrazu. Co nam przyzna, czego odmówi — chyba to jest bardzo ciekawem, ciekawszem niż domowe improwizacye krytyczne. Ponieważ zaś jest on tyle sumiennym, że nie mówi o nas za oczy, lecz w oczy, na gruncie, więc możemy w potrzebie sprostować każdą jego omyłkę. Trzeba właśnie tę bezpośredniość sądu poczytać Brandesowi za wielką rzetelność naukową, a nie za pokuszenie zuchwałe. Mógłby przecie naprzód opowiedzieć duńczykom, niemcom, francuzom, o literaturze polskiej — on wybiera drogę zaceniejszą — o nas mówi naprzód do nas.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Będziemy czy nie będziemy? — Wyradzanie się fizyczne ludności polskiej i dziedziczni kawalerzyści. — Spadki amerykańskie. — Ciekawy rachunek.

A więc — nie zginiemy! I to nietylko w najbliższej, zakreślonej przez Hartmana przyszłości, ale nawet do skończenia świata, lub przynajmniej dopóty, dopóki istnieć będą... konkursy dramatyczne i amerykańskie spadki. „Będziemy! Zadecydowano nie być (not to be), ale w Bogu nadzieja, że jakoś tam jeszcze mimo to będziemy — *we shall be*“ — zapewnia po polsku i po angielsku kronikarz *Bluszczu* z tej racyi, że pp. Kozłowski i Mańkowski otrzymali nagrody na konkursie. „Narodu, który przodując (tak!) w literaturze i sztuce, wyłania z siebie na dane hasło genialne jednostki, zetrzeć lub zniszczyć nie można“ — dodaje p. Niemojowski, obdarzony, jak wiadomo, szczególnym darem jasnowidzenia w czasie i przestrzeni. Uroczyste te zapewnienia w połączeniu z energicznym odgłosem hołubców mazurowych uspokoiły zupełnie troskę moją o przyszłość, bo jeżeli do wątpliwego nieco przodownictwa w literaturze i sztuce dodamy jeszcze niezaprzeczone przodownictwo w tańcu — to nie ma kwestyi, że nic nas zetrzeć nie zdoła.

Wkrótce jednak w umyśle moim zrodziła się pewna wątpliwość, nasunęły mi ją zaś cyfry, dotyczące wyradzania się fizycznego rasy polskiej. Stosują się one wprawdzie do Galicyi, ale mam pewne dane sądzić, że i u nas jest nie o wiele lepiej. W Austryi na 1000 popisowych każdej narodowości wypada zdolnych do służby wojskowej: węgrów 271, niemców 208, rusinów 170 i polaków 102, czyli że ludność polska w Galicyi jest dwa razy wątlejszą od niemieckiej i prawie trzy razy od madziarskiej. Widocznie przystosowujemy się do warunków bytu i zgodnie z „jedynie rozsądnym programem“ do żebractwa politycznego dołączamy jeszcze kalectwo fizyczne. Wyradzamy się. to znaczy — wymieramy powoli i jeżeli dziś jeszcze możemy powiedzieć — niezbyt pewne siebie — *będziemy*, ale skromniejsze *jesteśmy*, zawdzięczamy to cennemu przymiotowi płodności. Niewiele wszakże pomoże nam ona, jeżeli w przyszłości będziemy karleć coraz bardziej, chociażbyśmy rodzili się w zdwojonej liczbie. Ułomne pokolenia nie wydadzą nawet autorów dramatycznych, lecz — co najwyżej — tylko reporterów, albo współpracowników pism humorystycznych.

Nie mamy odpowiednich danych o ludności kraju naszego, wnioskując jednak na zasadzie luźnych spostrzeżeń i niektórych cyfr pośrednich, powiedzieć możemy, że i u nas dzieje się nielepiej. Ze wszystkich prowincyj państwa rosyjskiego w Królestwie znajdujemy największy procent niezdatnych do służby wojskowej. Z wykazów urzędowych dowiadujemy się również, że najmniejszy procent polaków służy w gwardyi i kawaleryi, t. j. w tych częściach wojsk, do których wybierają rekrutów o silnej budowie ciała. Więc nawet na ułanów nie jesteśmy już zdatni, chociaż nazywamy siebie jeszcze narodem konnym, a nawet wszyscy ziomkowie nasi z krzywemi nogami twierdzą chętnie, że ta wada jest objawem dziedziczności przymiotów kawaleryjskich, chociaż prawdopodobnie jest ona raczej objawem dziedziczności czegoś podobnie brzmiącego.

Zajęci staraniami o zbawieniu duszy chłopskiej, mało zwracamy uwagi na rozwój umysłowy ludu, wcale zaś nie dbamy o rozwój jego fizyczny. O ile wiem, w całem społeczeństwie naszem znalazł się jeden, jedyny człowiek, który nawołuje stale do badania ludności pod względem anatomicznym i fizyologicznym. Człowiekiem tym jest Prus i oto teraz, nie wiem już po raz który, rzuca on złowieszcze zapytanie: „z jakich przyczyn i jak daleko posunęło się zwyrodnienie ludności polskiej? jaki upior wysysa jej siły, krew i życie?“ Ważną tę sprawę podjąć winny towarzystwa lekarskie, które dzisiaj wegetują w bezczynności. Ale żadne z nich nie pomyślało o tem i dopiero gdy Towarzystwo hygieniczne petersburskie zwróciło się z zapytaniem: jak żyje i czem się żywi ludność polska, towarzystwo lekarskie w Warszawie utworzyło specyalną sekcyę, no, i rozumie się, spełniwszy ten obowiązek, spoczęło na laurach. Może wreszcie za lat kilka przyjedzie z Petersburga lub skądinąd jaka specyalna komisya dla dokonania tych pożądanych badań, na które nie mają czasu nasze towarzystwa medyczne, zajęte rozprawami o etyce lekarskiej i utyskiwaniami na zacieśnione pole dla działalności obywatelskiej.

Nie zrobiliśmy dotychczas i nie robimy nic dla zdrowia ludu, chociaż mamy możność działania w tym zakresie. Czy jest chociażby jedna gmina w Królestwie, któraby utrzymywała lekarza, obowiązanego nieść pomoc bezpłatną chorym? Czy są po wsiach felczerzy i akuszerki. Doprawdy stokroć więcej zrobiono w tym względzie w jakiejś gubernii permskiej lub wiackiej, aniżeli u nas, na pograniczu cywilizowanej Europy. O wymaganiach hygieny nie myślimy zgoła, poruszono kiedyś sprawę łaźni ludowych, ale zapomniano o niej wkrótce. Na wstyd nasz odezwały się nawet wtedy głosy przeciwne zakładaniu łaźni, dopatrujące w tej sprawie naśladownictwa obcych zwyczajów, niezgodnych z naszym charakterem narodowym. Trudno wymyślić coś głupszego, a jednak ze zdaniem takiem odezwało się pismo poważne i rozsądne. Ten patryotyzm brudu i niechlujstwa zakrzyczał i pogrzebał pożyteczny projekt.

Jednego z tych upiorów, wysysających siły, krew i życie ludności polskiej, pokazuje *Gazeta radomska*, która z niezwykłą w prasie naszej odwagą ośmiela się mówić czytelnikom swoim o tajnej prostytucyi wiejskiej i jej następstwach pod względem moralnym i fizycznym. Autor tej wzmianki jest sędzią gminnym, nie wdając się w rozprawy, przytacza on szereg faktów, których był świadkiem. Wypadki uwiedzenia trafiają się bardzo często, a dzieci nieprawe umierają zwykle bądź to śmiercią gwałtowną, bądź też naturalną, t. j. z głodu i zaniedbania. Korespondent o właściwej prostytucyi nie mówi wcale, uważając, że sprawa ta nie nadaje się do opisu publicznego, wspomina jednak ubocznie, iż „choroby zaraźne, któremi dotknięta jest nieraz cała rodzina przez nieostrożność, wywołaną zatajeniem dotkniętej chorobą jednostki, szerzą się z niesłychaną szybkością.“ Bodaj czy nie pierwszy raz w prasie polskiej spotykamy się z otwartem traktowaniem tego drażliwego przedmiotu. Dotychczas jeszcze dziennikarstwo warszawskie uważa za rzecz nieprzyzwoitą wspominać o pewnych chorobach, a katonowie nasi mają dla t. zw. sekretnych chorych tylko obojętną wzgardę. Dziwną nieraz jest ta nasza moralność: rozpustnik, któremu wskutek nadużyć wysycha mlecz pacierzowy, opój, cierpiący na pedagrę, wyłysiały lubieżnik lub zdenerwowana histeryczka zyskują jej pobłażanie, ale człowiek, który odbył podróż na ulicę Książęcą, nazywa się wyrzutkiem. Zresztą dodać trzeba, że opinia publiczna pobłażliwą jest dla wyleczonych, oni to właśnie płodzą owych „dziedzicznych kawalerzystów“ z krzywemi nogami. Rodzice z czystem sumieniem wydadzą córkę za przesyconego rtęcią konkurenta i opinia publiczna nie weźmie im tego za złe, ale natomiast skarci surowo każdego, ktoby ośmielił się głośno mówić o potrzebie zbadania tych strasznych objawów wyradzania się ludności, których jedną z przyczyn jest zatrważające szerzenie się chorób syfilitycznych; ktoby żądał przedsięwzięcia środków zaradczych. W Warszawie nie można przejść przez ulicę, żeby nie spotkać twarzy, na której „namiętności wyryły bruzdy,“ albo „widać ślady przeżytych wrażeń,“ jak wyrażają się początkujące autorki; dzięki wzajemnemu obcowaniu wsi z miastem, „wstydliwa słabość“ szerzy się także po prowincyi i degeneruje ludność włościańską.

Nie mówię o innych przyczynach zwyrodnienia fizycznego, do których zaliczyć można np. nadmierną, w stosunku do odżywiania się, pracę itd., zaznaczam tylko, że groźne objawy degeneracyi nawołują do jak najprędszego i gruntownego zbadania tej sprawy. Jest to dla nas prawdziwie kwestya bytu. Naród może utracić ziemię— jak żydzi, język — jak irlandczycy, cywilizacyę — jak serbowie i bułgarzy, a jednak żyć będzie i spodziewać się lepszej doli. Jeżeli jednak zmarniejemy jako plemię, jako rasa — wtedy nie możemy *być*, pomimo polsko - angielskich zapewnień, tryumfów konkursowych i kawaleryjskich przymiotów. Społeczeństwo złożone z bernosych, krzywonogich, anemicznych, karłowatych zdechlaków, chociażby na zawołanie rodziło „genialne jednostki,“ skazane jest nieuchronnie na zagładę. Słabość fizyczna pociąga zresztą za sobą i upadek moralny. Kto wie, czy jałowość umysłowości naszej nie jest następstwem cielesnego zwyrodnienia, przykład Galicyi służyć może jako argument na korzyść tego zdania. Jeżeli potrzeba innych dowodów, przytoczę jeszcze jeden, który chyba trafi do przekonania tancerzom programów. Wyniszczony cherlak nawet w mazurze nie potrafi hołubcami świadczyć o naszej żywotności narodowej. A kiedy i w tańcu zejdziemy na plan ostatni, to nie wiem już doprawdy, w jaki sposób oznajmimy światu, że żyjemy.

Trzeba jednak spodziewać się „wbrew nadziei;“ otóż zastanawiając się nad środkami ratunku żywotności naszej znalazłem jeden. Są to — spadki amerykańskie. Nie ma dnia prawie, żeby które pismo brukowe nie doniosło o nowem, olbrzymiem dziedzictwie. Do jednego z nich ja sam nawet posiadam pewne prawo, niegorsze od tytułów innych urojonych wielbicieli, ale nie warte w rzeczywistości złamanego szeląga. Dziedzictwa te zaczęto obliczać skromnie — pierwszy spadek wynosił tylko 40 milionów dolarów, następny doszedł do 100, teraz zaś ogłoszono nowy— 300 milionów. Nie zła sumka! — woła *Kaliszanin*— „zblednie przy niej z wściekłości stomilionowa pożyczka pruska.“ Gdyby nawet urojone dziedzictwo stało się faktem, wątpię, czy fundusz kolonizacyjny zbladł by bodaj na chwilę, bo przekonany jestem, że z tych milionów drobny procent zaledwie poszedłby na jakieś cele ogólne. A przecież i ja wierzę w spadki amerykańskie

i spodziewam się stamtąd ratunku. Wierzę mianowicie, że ludność polska w Ameryce odrodzi się fizycznie i moralnie i w przyszłości dostarczać nam będzie zdrowych ciałem i duchem reproduktorów. Wprawdzie znawcy utrzymują, że rasa poprawia się nie tyle krzyżowaniem, ile starannym chowem, alеć zawsze i krzyżowanie coś znaczy.

Gazeta lubelska drukuje ciekawą bardzo, chociaż niewłaściwie zatytułowaną rozprawę. Nagłówek głosi: *W sprawie konkurencyi zboża amerykańskiego i indyjskiego*, właściwie jednak autor mówi o gospodarstwach naszych. Za podstawę do obliczeń bierze on majątek znany sobie dobrze, posiadający grunta średniej urodzajności i średnio zagospodarowany. Z rachunku okazuje się, że przy dobrych cenach na zboże, jakie były np. przed kilkoma laty, majątek daje właścicielowi 14% dochodu, licząc w to już i koszta utrzymania. Ale nawet przy niskich cenach dochod wynosi około 5%. Żadnych ubocznych źródeł przychodu w majątku nie ma. Położenie rzeczy zmienia się jednak, jeżeli ziemia jest obdłużona. Przy dobrych cenach na zboże i 14% dochodu łatwo można było płacić wysokie odsetki, dziś wszakże kiedy gospodarstwo daje 5%, od sum hypotecznych zaś płaci się 8—10%, bankructwo jest nieuniknionem. Natomiast właściciele nieobdłużonych majątków „nie obawiają się nigdy żadnych przesileń, zastoju, spadku cen itd., najniższy bowiem dochód wraz z procentami od kapitału zapasowego i obrotowego wystarcza im *na wygodne, nawet zbytkowne utrzymanie.*" Autor nie podaje własnych wniosków, ale łatwo ich się domyśleć. Rozumowania jego potwierdzają również wypowiedziane niegdyś przez nas zdanie, że główną przyczyną dzisiejszego przesilenia było nienaturalne podniesienie ceny ziemi przed 7 laty. Przy ówczesnych wygórowanych cenach na zboże majątki ziemski dawały wysoki dochód, kupowano je w znacznej części za pożyczane pieniądze i operacya ta przy 14% dochodu opłacała się wtedy. Dziś, kiedy ceny wróciły do normalnego poziomu, nieopatrzni nabywcy bankrutują. Autor przytacza charakterystyczny przykład: P. Z., mając zaledwie 12,000 rs. kapitału, kupił majątek za 150,000 rs. i zaraz urządził w nim gorzelnię kosztem 30,000 rs. Czyż taki nabywca nie musi zbankrutować? A jednak i on nawet dotychczas wegetuje i „żyje z odpowiednim konfortem." Rezultat badań autora da się streścić mniej więcej w ten sposób: właściciele majątków obdłużonych chociażby do połowy wartości w dzisiejszych warunkach, tj. przy 5% dochodu, muszą zbankrutować, ponieważ procenty od pożyczek pochłaniają cały zysk. Skąd łatwo wyprowadzić wniosek, że żaden kredyt tu nie pomoże, gdyż zawsze odsetki wynosić będą więcej, aniżeli odsetki z odpowiedniej części majątku, co najwięcej ocalić on może tylko szczupłą liczbę tych, których długi nie przechodzą 50% wartości ziemi. Na podniesienie cen zboża rachować dziś trudno. Pozostaje więc jedyny środek ratunku — sprzedaż zadłużonych obszarów. Trudno jednak znaleźć obecnie chętnych nabywców, tylko więc częściowa lub całkowita parcelacya mogłaby mieć widoki powodzenia. Ale ponieważ oszczędności włościańskie wyczerpały się już prawie zupełnie, parcelacya możliwą będzie wtedy tylko, jeżeli jakaś instytucya ułatwi chłopom nabywanie ziemi. Niestety, na instytucyę taką długo jeszcze zapewne poczekamy, bo krążące przed paru laty pogłoski o banku włościańskim zamilkły zupełnie.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Schlesische Zeitung zamieszcza znowu list jakiegoś polityka z Mościsk w Galicyi:

„Szanowna redakcyo! Wasze sensacyjne artykuły o Polsce obudziły tu powszechne zajęcie. Nie ma ani jednego rozumnego polaka, któryby w teoryi zgodził się na oderwanie którejkolwiek prowincyi dawnej Polski, ale inna rzecz w praktyce: Jeżeli Polska ma być przywrócona aż do Czarnego morza, to któż z nas nie zgodzi się na uregulowanie zachodniej granicy według życzeń „uczciwego meklera." Co więcej: w Polsce obowiązuje zasada polityczna: „gdyby sam Mefistofeles przywrócił Polskę, to wybierzemy go na króla." Nie można przedstawić sobie bardziej pięknego uwieńczenia karyery politycznej księcia Bismarka, jak wybór jego głosami wolnego narodu na króla. Ja osobiście, jako przedstawiciel jednego z najbardziej starożytnych rodów szlacheckich pierwszy podaję głos za króla odrodzonej Polski — Ottona I-go."

Ciekawa rzecz, co powie następny polityk.

Wiek podaje wyliczenie przywilejów, z jakich korzystają urzędnicy rosyanie w Królestwie:

„Wkrótce rozpatrywany będzie w radzie państwa projekt, wypracowany przez komisyę pod przewodnictwem sekr. st. Peretza, a obejmujący nowe przepisy o przywilejach urzędników rosyjskich w Królestwie Polskiem. Dotychczas obowiązujące przepisy z r. 1867 zapewniają urzędnikom rosyjskiego pochodzenia następujące przywileje: 1) fundusz na koszta podróży i przeprowadzki w ilości rs. 600 dla klas do VI włącznie, a rs. 1000 dla urzędników wyższej klasy; 2) co pięć lat, dla szczególnie gorliwych, dodatki do pensyi w ilości 15, 30, 45% itd. (w wydziale oświecenia 25, 50% itd.) z zastrzeżeniem, że liczba takich osób nie może przenosić ½ ogółu urzędników rosyjskich w danym wydziale, mających więcej niż 5 lat służby; 3) dzieci urzędników rosyjskich wychowują się w zakładach naukowych na koszcie rządowym; 4) termin wysługi emerytury jest dla urzędników rosyjskich skrócony, a normalna wysokość pensyi nieco podniesiona i 5) rangi i order św. Włodzimierza udzielają się urzędnikom rosyjskim również w skróconym terminie."

PRASA ROSYJSKA.

Moskowskija wiedomosti piszą w tej samej sprawie:

„Rosyjskie towarzystwo w Warszawie, a zwłaszcza urzędnicy wydziału oświaty, z trwogą wyczekują rezultatu uchwał komisyi obradującej w Petersburgu pod przewodnictwem sekretarza stanu Peretza, nad przepisami o przywilejach urzędników rosyjskich w Królestwie. Mówią po mieście, że projekt wniesiony już do Rady państwa, opracowany jest w duchu ograniczenia i tak już szczupłych przywilejów, nadanych tym urzędnikom w r. 1867. Ograniczenia motywują się jakoby zbytecznym napływem rosyan do Królestwa. Tymczasem napływu takiego nie ma, i owszem uczciwych rosyjskich działaczów uczuwa się tutaj potrzeba wszędzie.

To samo widzimy i w miastach gubernialnych; w rządach gubernialnych, pomimo licznego personelu i dobrych pensyj, bywa po dwóch lub trzech urzędników rosyjskich. Niktby nie przypuszczał, a jednak są gubernie, w których gubernator sam musi referować ważniejsze sprawy, a nieraz nawet przepisywać i ekspedyować, aby pomocnicy nie zdradzili tajemnicy i nie zawiadomili, o czem nie trzeba, osób interesowanych. Ale zapieczętowawszy nawet kopertę, gubernator niezawsze jeszcze bywa spokojny: otworzą na poczcie! W innych władzach gubernialnych także nie więcej urzędnikó rosyan.

O ile niektóre sądy przeniknięte są duchem rosyjskim, dowodzi następujący przykład. Sprawy b. unitów sądzone są zazwyczaj w jednym z sądów okręgowych cesarstwa Rosyi, niedawno jednak dla pośpiechu i ułatwienia, uznano za możliwe, aby sprawy rzeczone rozstrzygał jeden z sądów okręgowych Królestwa. Od czegoż zaczęła się działalność sądu? Oto w pierwszej zaraz sprawie sąd pozwolił prawosławnym wykonać przysięgę przed księdzem, na gołosłowne ich twierdzenie, że są katolikami, przyczem oświadczył, że nie wdaje się w rozbiór, do jakiego wyznania świadek należy, gdyż dla sądu wszystkie religie są jednakowe.

Zwróćmy się teraz do Warszawy. Zazwyczaj mówiąc o napływie rosyjskich urzędników i pedagogów do Królestwa, wskazują na instytucye rządowe warszawskie, szczególniej na personel pedagogiczny. Rzeczywiście, dzięki staraniom kuratora okręgu, sprowadzono tu wielu rosyan, lecz czyż można powierzać polakowi naukę języka rosyjskiego i historyi ojczystej?

I wobec tego, u nas w Warszawie znajdują się nawet rosyanie, mówiący o jakimś napływie urzędników pochodzenia rosyjskiego i dlatego nie dziw, że w Petersburgu uważają za sprawiedliwe znieść przywileje dane w roku 1867. Tymczasem bez owych przywilejów, nie wiadomo, czy kto zechce urzędować w kraju nastrojonym wrogo, gdzie i bez tego rosyjskiemu człowiekowi żyć bardzo ciężko."

W tem miejscu należy zapisać jeszcze uwagę *Wieku*:

„Zdaje się, że byłby daleko prostszy i mniej kosztowny sposób postarania się o urzędników „prawdziwie szanownych i sumiennych" w prowincyach polskich, a mianowicie brać tuziemców. Ten sposób był dawniej praktykowany i to z zupełnem powodzeniem."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Zanim na scenie naszej ukażą się sztuki z ostatniego konkursu, reżyserya przypomniała sobie komedyę W. Tomaszewicza *Za późno*, odznaczoną na konkursie poprzednim, który wydał bardzo skromne rezultaty. Sędziowie uznali ją za napisaną porządnie, opartą na obserwacyi, zawierającą myśl głębszą, ale z powodu niedostatków w budowie nie przyznali jej nagrody. Myśl zasadnicza zdrowa i dobra. Kobieta z upadającej rodziny szlacheckiej wchodzi do domu mieszczanina, wnosi z sobą wiele złych instynktów, wiele błędów swojej sfery i ostatecznie marnuje życie rodzinne. Tymczasem kobieta z prostej, uczciwej rodziny mieszczańskiej zostaje żoną hrabicza, szalawiły i birbanta i ratuje byt rodziny, zagrożony przez lekkomyślność i marnotrawstwo męża. Tkwi w tem głębsza intencya zestawienia moralnej wartości życia wewnętrznego dwu sfer społecznych. Pod względem artystycznym udały się najlepiej autorowi dwie główne postacie kobiece; w innych złożył dowody niezłej obserwacyi. Całość, zlepiona z luźnych obrazów, mało ma dramatycznego ruchu i razi chwilami nadmiarem morału i kaznodziejstwa. W ustępach i scenach pojedynczych, malowanych z pewną plastyką, znać zdolności, które z korzyścią dla sceny przy większej technicznej wprawie może autor zużytkować.

Z grających w ogóle dobrze artystów wyróżnić należy głównie pannę Noiret, aktorkę młodą, z obiecującym bardzo talentem, pannę Czaki, grającą rolę żonki mieszczańskiej, panie: Niewiarowską, Borkowską, Mierzeską i pp. Tatarkiewicza, a zwłaszcza Ostrowskiego, który na szare w ogóle tło sztuki rzucił błyski szczerego humoru.

Dobry początek. Szpital Dzieciątka Jezus zamianował na oddziałach kobiecych zewnętrznym i wewnętrznym dwie wykwalifikowane kobiety-felczerki.

Nowa kolej. Zarząd drogi dąbrowskiej wystąpił z projektem połączenia tej linii z drogami południowo-zachodniemi, w celu rozszerzenia zbytu węgla kamiennego w granicach Cesarstwa. Projekt polega na przedłużeniu linii od Bzina do Ostrowca w kierunku Wisły i za Wisłą ku Bugowi. Wtedy węgiel nie potrzebował by kołować na Radom i Iwangród, co znacznie zmniejszyłoby koszt transportu.

Zamieć śnieżna w d. 16 i 17 marca powstrzymała zupełnie prawie ruch kolejowy. Na drodze Nadwiślańskiej przez całą dobę pociągi nie chodziły wcale, na terespolskiej również. Trzy pociągi drogi wiedeń-

skiej zatrzymały się w Skierniewicach. Nietylko koleje w Królestwie, ale i w prowincyach sąsiednich wstrzymały komunikacyę.

Kasy oszczędności otwarte zostały przy wszystkich oddziałach prowincyonalnych Banku państwa.

Korespondent Słowa puścił pogłoskę, które inne pisma powtórzyły, że autorem listu wołyniaka w *Schl. Zeitung* jest znany prof. I. Caro.

Grzeczność. Warszawskie Towarzystwo wzajemnego kredytu w korespondencyi z przemysłowcami tutejszymi niemieckiego pochodzenia używa blankietów z nagłówkiem *Warschauer Gegenseitige Credit-gesellschaft*. Co za uprzedzająca grzeczność!

Redaktor Warszaw. Dniewnika p. Szczebalskij opuszcza swoją posadę z powodu słabości zdrowia, następcą jego będzie p. Naumow.

Wywóz cukru za granicę wynosił w r. z. i dwóch pierwszych miesiącach bieżącego 5,788,209 pudów. Za 3,114,042 p. wypłacono premium po rublu, za pozostałą zaś ilość po 80 kop. od puda, czyli że zapomoga zwrotna rządowa przewyższyła 5 milionów rubli.

Burzliwe wybory. W Baku podczas wyborów członków zarządu miejskiego wszczęła się bójka, zakończona wystrzałami z rewolwerów. Dopiero przywołani przez władzę żandarmi i kozacy przywrócili porządek.

Wojowniczy Korespondent. Do Łodzi przybył niedawno niejaki R. korespondent *New York Heralda*. Na posiedzeniu sądowem amerykaninowi nie podobało się sąsiedztwo dwóch izraelitów, zepchnął więc ich z ławki, kiedy zaś sędzia zwrócił mu uwagę, że niewłaściwie postępuje, wyłajał sędziego, poturbował policyę i obecnie siedzi w więzieniu.

Wychodźcy. W Londynie mieszka obecnie około 1500 polaków.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czytelnikom z Odessy. Chamborda, który na korzyść pojęć nowoczesnych nie chciał zrobić ustępstwa nawet w ortografii swego tytułu (*roy* zam. *roi*) nazywano „kopalnym królem.“ Mniej lub więcej kopalnych pretendentów Francya posiada wielu.

Pozyt. 1) Jednodniówkę chorwacką może Pan sprowadzić przez każdą księgarnię warszawską. 2) Nie Głębocki, a nie wiemy, o kogo Panu chodzi. 3) Rozprawa ta nie jest w całości przetłomaczoną, tylko była streszczona. 4) Wszakże pisuje.

P. J. S. w Kozłowie. Można.

Prenumerat. z n. Narwi. Przewodnik gimn. Majewskiego 1874.

H. S. w Lublinie. Kosmografia Hertza; Lub. wyczerpany, Zim. przestarzały.

H. Zabok. w Słucku. Przesłano nam reklamacyę Pani; uważamy więc za stosowne objaśnić, że *Świt* został przez nas zaprenumerowany zaraz po odebraniu pieniędzy.

Kuryerowi warsz. Nie pompujcie, panowie, tak dla nas morałów, chociażby przez pamięć na to, że z waszego zdroju prawdy możnaby wyczerpać dużo wiadomości, którym musieliście zaprzeczyć. My od *Kuryera* niczego nie „żądamy,“ sądziliśmy tylko, że pismo, które sprawdziło podpis autora odebranej korespondencyi, powinno było sprawdzić również jej treść, jeżeli ją gdzieindziej wzmiankowaną nazwało „paszkwilem.“ *Kuryer* dotąd nie przedstawił żadnego dowodu, że zmyślony był fakt, tylko ciągle wykazuje, że zmyślone były nazwiska autorów doniesień, bo mu idzie nie o prawdę, ale o dziecinną szykanę. Czy opisane zdarzenie stało się, to go nie obchodzi, ale obchodzi go to, że wójt gminy listu nie pisał, a Waludzyński nie istnieje. Zdumiewa się, że „żądamy“ od niego rozjaśnienia rzeczy, ale za to sam na ochotnika przeprowadza śledztwo w biurze adresowem i ogłasza tryumfalnie, że w Warszawie jest tylko 10 Waluszyńskich — nieurzędników. Wysoce znamienna taktyka publicystyczna! Dla dalszych jej popisów przesyłamy *Kuryerowi* pismo p. Waludzyńskiego, które zapewne posłuży do nowych studyów — w biurze adresowem.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Bezimiennie rs. 20, Abonent *Prawdy* rs. 2.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Марта 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.